

Wiadomości Polskie

POLITYCZNE I LITERACKIE • TYGODNIK • THE POLISH NEWS

PORUCZNIK HERBERT

LUCY WRACA DO BAZY

Lucy jest bardzo ładna i bardzo zgrabna. Zgumnt mówi, że Pan Bóg umieścił w tej dziewczynie wszystkie oszczędności, jakie porobił na urodzie Szkodki. Lucy jest blondynką. Pod burzą jasnozłoty włosów ma białe, gładkie czoło, równe, ciemnozłote brwi i duże, zielono-niebieskie oczy, z rzęsami, które trzepocą się jak aksamiotne motyle. Nosek ma prosty, wąski, o delikatnych cienkich nozdrzach, a pod nim lekkie wgniecenie, znikające przy uśmiechu jasnoczerwonych ust. Ust Lucy nie podejmuje się opisać. Nie potrafi ich porównać do niczego: ani do wiśni, ani do róży, ani do czegoś równie banalnego. Zresztą takie porównania są obrażające dla ust Lucy.

Kiedy Lucy się uśmiecha (a robi to często, ponieważ wie, że ma słiznę, błyszczące, białe jak twaróg zęby) — w jej zielonawych oczach widać słoneczne iskierki czy też ogniki. Lepiej nie zaglądać jej w oczy, bo łatwo można stracić głowę, a może i serce... Było już w naszym dywizyjnie kilka takich wypadków; jeden szczególnie ciężki...

Lucy jest chrestną matką dywizyonu. Jest córką lorda B. Dlatego między sobą nazywamy ją „lordówną“.

Nie jest jeszcze inna Lucy. Ta jest mniej zgrabna; raczej wiedźmowata. Głos ma basowy, donośny; jest ciemna, prawie czarna, wielka, przysadzista i mocna. Po całych dniach drzewnie w słońcu, albo — gdy deszcz pada — odkryta brzościonymi płachtami, szamocze się z wicherem. Budzi się o zmroku i wyrusza na nocną wyprawę, by porwać o świcie.

Tamta jasna jest także chrestną matką tej ciemnej. W tamtej jasnowłosej Lucy kocha się nazabój Góral. Góral — pierwszy pilot i dowódca załogi tej drugiej „Lucy“, czyli samolotu Wellington, oznaczonego literą „L“.

Cały dywizyon wie o miłości Górala, bo się to wykryło jeszcze w lecie, kiedy poprzednia nasza maszyna, „Genowefa“, spaliła się na lotnisku obrony wybrzeża, gdzie wówczas staliśmy. Spalili się wtedy wraz z „Genowefą“ nasz drugi pilot, Merkurs, a rannego Górala wyratował z płomieni Pryszczek.

To było cztery miesiące temu, w sierpniu. Od tego czasu wiele się zmieniło. Pryszczki — niegdyś kierowa samochodowy, a później mechanik — ukochał pilot myśliwski, a później strzelec tylny „Genowefy“ — przeszedł krótkie przeszkolenie na pilota bombowego; dywizyon wrócił na swoje dawne lotnisko grupy bombowej; nasza załoga dostała nowego Wellingtona „L — a Lucy“...

Nie zmieniła się natomiast miłość Górala. Miłość, której — miłość, o której wszyscy wiedzą z wyjątkiem Lucy.

Może zresztą Lucy także wie o niej, tylko udaje, że nie, podobnie jak udaje każdy z nas?

Przeprowadzamy: nasz nawigator, Zgumnt, nie udaje bynajmniej. Potrzeba głowa z politowaniem i mówi, że gdyby miał o pięćdziesiąt lat mniej, Lucy byłaby od czterech miesięcy jego słubną żoną, a za pięć miesięcy poprosiłby Górala w kumy.

Bujak, nasz przedni strzelec, powątpiewa, czy lord B. zgodziłby się na mezalians córki, i to z człowiekiem o takim nazwisku, którego w żaden sposób nie można wymówić; ale Zgumnt zapewnia, że tylko wiek po desygnacji mu przeszkadza w zawarciu tego małżeństwa, bo Lucy ma lat dwadzieścia, on zaś właśnie ukochał czterdziestki trzy. „A co do nazwiska Wasilewskiego, ostatecznie „Łozajliński“, jak je wymawiają Anglii, brzmi bardzo pięknie i jakby z turecka. Możnaby dodać „hey“ na końcu.

Koza, który jest poetą, a w chwilach wolnych od pisania sonetów — także radiotelegrafista „L — a Lucy“, ma już przygotowany wiersz na zaręczyny Górala. Sześć mechaników, Talaga, z całą brygadą obsługi ziemnej, przygotował model Wellingtona jako prezent dla tej pary. Kazimierz Kędzierzawy, prezes messy oficerskiej tużdy adjutant dywizyonu, odstawił skrzynię zanych butelek, żeby oblać te zaręczyny. Co młodsi i przystojniejsi „skrzydłacy bohaterowie“ z innych załóg pogodzili się z myślą, że Lucy jest dla nich stracona, i pilotują inne, łatwiej dostępne piękności. Słowem, wszystko sprzyja happy-endowi romansu, który jakoś nie może się zacząć...

Nie wiem, jak długo by to trwało, gdyby nie Pryszczki. Nie wiem także, czy Pryszczki działał z premedytacją, czy też był to istotnie przypadek. Tak czy inaczej — on właśnie stał się pośrednio przyczyną przynajmniej części zdarzeń, które nastąpiły tej nocy z 10 na 11 grudnia 1942 r.

— jestem znów pilotem. Pilotem bombowym bardzo świeżej daty... W tych warunkach, zarówno krytyka jak pochwały bardziej mnie upokorzyły. Załoga to rozumie. Wiem, że przeżyli emocje podczas tego startu. Ze cały ten lot będzie dla nich nieco denerwujący. Ale żaden z nich nie chce, żebym się tego mógł bodaj domyślać. Zachowują się zupełnie tak jakby za sterem siedział Góral, nie ja. Góral zaś udawał dotąd, że drzemie — tak dalece sprawy pilotowania „Lucy“ do celu go nie obchodzi; wogóle nie zamierza się do tego wtrącać.

Kilkadziesiąt zegarów przed moją twarzą pulsuje i drga, meldując o tem co się dzieje. Każdy z nich stoi na straż; każdy natychmiast donosi o zmianach ciśnienia, obrotów, wznoszenia się, temperatury, napięcia. Sztuczny horyzont kontroluje — mnie. Jest również bezwzględny jak inne wskaźniki. Nie ukrywa przede mną niczego. Jest brutalnie szczerzy, i jeśli zapomina o nim na chwilę, drwiąco wykrzykuje się przez chylone blaszane sylwetki samolotu albo udaje zdziwienie, podnosząc ją w górę, jakby urosił brwi z ciemną ironią.

Poprawiam położenie maszyny, nie spiesząc się: — Nie przesadzajmy! Błąd jest drobny; o wiele drobniejszy niż to przedstawia karykatura „Sperry“.

Wtedy on robi obojętną minę i udaje niewiniątko. Spogląda znów po chwili na to bezczelne indywidualum. Blaszana sylwetka leży poziomo w samym środku tarczy i zdaje się mówić z wyższością: — Widzisz? poprawiłeś się. Tylko tak dalej, a będzie z ciebie wcale niezły pilot. Gorszych idiotów nauczyłem trzymać maszynę w linii lotu. Nie się nie martw... — Złości mnie to, jakkolwiek wiem, że „Sperry“ ma rację.

Podciągamy „Lucy“ w górę i gdy mijamy Jersey, wysokościomierz wskazuje 14 000 stóp. W kwadrans później wchodzimy nad brzeg Francji, witali słabym ogniem baterij nadbrzeżnych, które pudują haniebnie.

Noc jest jasna, księżycowa. W pewnej chwili widać przed sobą, jak po ziemi zaczyna płuć srebrzysta, świecąca nieć. Rozszerza się i zwęża, wygina się, znika chwilami i znów się ukazuje.

— Vilaine — mówi Zgumnt.

Z prawej strony biegnie, ślizga się inna srebrna nieć: Oust. Nagle pomknęły ku sobie skłonie, połączyły się, uciekły w prawo: mijamy Redon. Do celu — 25 mil... — Poprawiam się w fotelu. Jednocześnie wyczuwam napięcie, które zaczyna ogarniać załogę. Mam wrażenie jakby udziałem się ono także maszynę: silniki jakos inaczej wibrują; stery inaczej reagują na ruchy drążka; w słuchawkach telefonu podładowego jest jakaś nowa akustyka. Tylko zegary czują jak przedtem, sumiennie i bezstronnie.

Zgumnt podaje mi nowy kurs, a Bujak melduje o pierwszych reflektorach. Wyznam kam się im łatwo i — ponieważ mamy 18 000 stóp pod sobą — zmniejszam „boost“, ustalając obroty na 2000.

Idą pierwsze pociski artylerji przeciwlotniczej. Jakis granat pęka przed nami, tworząc gęstą, ciemną obłoczek na naszym szlaku, podobny do balonu zaparowego. Instynktownie kładę maszynę w skręt, żeby go wymiąć, za późno zresztą. Wpadamy w kłęb dymu, który dostaje się do wnętrza gondoli i drapie w gardło.

Zgumnt znów podaje kurs i schodzi do celownika. Wyznam dwie zapory ogniowe, jedną po drugiej. Bujak woła: — Reflektory z prawej!

Zamykam gaz, trawersuję, wyprowadzam i znów zwiększam obroty. Wszystko idzie dobrze. Pracuję nieomal mechanicznie, coraz swobodniej, poświęcając coraz mniej uwagi reakcjom maszyny, która jest mi teraz posłuszną, jakby rozumiała że nie pora na posły.

— Widać Loarę — mówi Bujak. — Pod nami na lewo.

1) Sperry — sztuczny horyzont, przyrząd wskazujący pochylenie samolotu w osi podłużnej i poprzecznej.

— Bo się Zgumntowi mapa skończyła — powiedziałam złośliwie. — Spojrzałem na busole. — Kurs mamy na Paryż, zdaje się — zauważyłem. — Zgumnt wzruszył ramionami. — To właśnie dobrze — stwierdził. — Będziemy wracali ile się da nad lądem; wyjdziemy na prawo od Cherbourg. Leć dalej tym kursem. — Wysiedliśmy z reflektorów, i „Lucy“ wstrząsana ustawicznymi dreszczami, — nie wiem spowodu uszkodzenia sterów, czy też wskutek ogolnienia całego kadłuba, — ciężko przebiegała się przez silny wiatr eozolowy na północo-wschód. — Po chwili zauważyłem, że traci zwolna wysokość, jakkolwiek leciałem na dwa i pół „boosta“ i 2350 obrotów. Szybkość zaraz po ugaszeniu pożaru spadła do 120 mil na godzinę, a wzmagający się wiatr hamował ją jeszcze bardziej. Szczęściem, silniki pracowały równo, a zbiorniki benzyny nie zostały naruszone przez wybuch poisku, bo zużycie paliwa wzrosło normalnie, tylko wskutek zwiększonych obrotów. — Zgumnt zagłębił się w obliczeniach. Bujak zamilkł, bo nie szczególnego się nie działo, a księżyc zakryły chmury i noc zrobiła się czarna jak atrament. Ja nasłuchiwałem warkotu silników i odgłosów wicheru szalającego w kratownicy kadłuba. — W pewnej chwili usłyszałem także głos Pryszczki, który rozmawiał z Góralem: — Nie podobno, panie kapitanie. Nic wogóle mi nie uszkodzili, tylko celownik poszedł w drobne kaski. Ale hydraulika w porządku... — Zostanę, panie kapitanie. Tam tera wieje jak cholera, a ja na przeciagi jestem wrażliwy... — Uśmiechnąłem się: Pryszczki postanowił dzielnie wytrwać w swojej tylniej wieżyczce, z celownikiem rozbitym przez pocisk, choć groziło jej oderwanie od maszyny gdyby zlamany się nadwałtownie dźwigiary kadłuba. Starała tam daleko od nas, w tyle, za sterami, samotna, wstrząsana pędem, nie pewna u końca kratownicy, jakby zawieszona nad przepaścią, w którą mogła się zwałić lada chwila wraz ze strzelcem. Ale on nie chciał jej opuścić, bo nie lubił przeciagów... — Tymczasem Koza, balansując na wąskim blaszanym pomoście, przez który rwały potężne podmuchy, usiłował złowić koniec anteny posiwstającej w ciemności i miotanej wicherem. Wła się jak rozwścieczona żmija, bila po zębach ogona, patała się między ścięganymi, wyrwała mu się z dłoni. Złapał ją wreszcie we dwóch z Góralem i — mając pod nogami 12 000 stóp otchłani, dokoła zaś ciemność ewaluującą z wicherem — pomocarni przytwierdził ją do izolatora i pomalczyli z nadajnikiem. — Potem Góral zapytał przez telefon pokładowy: — Możesz dalej prowadzić, Herbert? — Naturalnie, że mogę — odpowiedziałem bez wahania, jakkolwiek jeszcze przed godziną zdawało mi się, że nie wysiedziabym w steru dłużej niż w jedną stronę. — Jak maszyna? — Trzyma się. Wprawdzie tylko „na słowo honoru“, ale się trzyma. Spróbujemy uruchomić radio. — A pożary w tym Sontazerze furt jeszcze widać, panie kapitanie — odezwał się Pryszczki ze swego stanowiska. — To dobrze. Uważaj, żeby nie gasty — powiedział Bujak. — Zgumnt podkręcił swoje wyczerpanie, przyjrzał im się zdaleka, pochylony na bok głowę, zamarszczył czoło, uniósł brwi, jakby się sam dziwił własnemu dziełu, i zapytał o kurs. — 45° — powiedziałem, zgodnie ze wskazaniami busoli. — Spojrzał na zegarek i po namyśle podał nowy kurs, wprost na północ. — I masz wyjść 12 mil w prawo od Cherbourg, a potem prosto na Portsmouth. — Powiedziałem, że spróbuję, choć kurs jest „na słowo honoru“. — Sprawdzimy przed brzegiem — odrzekł i wywniósł się do kabiny radio. — W kilka minut potem Pryszczki zamel-

— Bo się Zgumntowi mapa skończyła — powiedziałam złośliwie. — Spojrzałem na busole. — Kurs mamy na Paryż, zdaje się — zauważyłem. — Zgumnt wzruszył ramionami. — To właśnie dobrze — stwierdził. — Będziemy wracali ile się da nad lądem; wyjdziemy na prawo od Cherbourg. Leć dalej tym kursem. — Wysiedliśmy z reflektorów, i „Lucy“ wstrząsana ustawicznymi dreszczami, — nie wiem spowodu uszkodzenia sterów, czy też wskutek ogolnienia całego kadłuba, — ciężko przebiegała się przez silny wiatr eozolowy na północo-wschód. — Po chwili zauważyłem, że traci zwolna wysokość, jakkolwiek leciałem na dwa i pół „boosta“ i 2350 obrotów. Szybkość zaraz po ugaszeniu pożaru spadła do 120 mil na godzinę, a wzmagający się wiatr hamował ją jeszcze bardziej. Szczęściem, silniki pracowały równo, a zbiorniki benzyny nie zostały naruszone przez wybuch poisku, bo zużycie paliwa wzrosło normalnie, tylko wskutek zwiększonych obrotów. — Zgumnt zagłębił się w obliczeniach. Bujak zamilkł, bo nie szczególnego się nie działo, a księżyc zakryły chmury i noc zrobiła się czarna jak atrament. Ja nasłuchiwałem warkotu silników i odgłosów wicheru szalającego w kratownicy kadłuba. — W pewnej chwili usłyszałem także głos Pryszczki, który rozmawiał z Góralem: — Nie podobno, panie kapitanie. Nic wogóle mi nie uszkodzili, tylko celownik poszedł w drobne kaski. Ale hydraulika w porządku... — Zostanę, panie kapitanie. Tam tera wieje jak cholera, a ja na przeciagi jestem wrażliwy... — Uśmiechnąłem się: Pryszczki postanowił dzielnie wytrwać w swojej tylniej wieżyczce, z celownikiem rozbitym przez pocisk, choć groziło jej oderwanie od maszyny gdyby zlamany się nadwałtownie dźwigiary kadłuba. Starała tam daleko od nas, w tyle, za sterami, samotna, wstrząsana pędem, nie pewna u końca kratownicy, jakby zawieszona nad przepaścią, w którą mogła się zwałić lada chwila wraz ze strzelcem. Ale on nie chciał jej opuścić, bo nie lubił przeciagów... — Tymczasem Koza, balansując na wąskim blaszanym pomoście, przez który rwały potężne podmuchy, usiłował złowić koniec anteny posiwstającej w ciemności i miotanej wicherem. Wła się jak rozwścieczona żmija, bila po zębach ogona, patała się między ścięganymi, wyrwała mu się z dłoni. Złapał ją wreszcie we dwóch z Góralem i — mając pod nogami 12 000 stóp otchłani, dokoła zaś ciemność ewaluującą z wicherem — pomocarni przytwierdził ją do izolatora i pomalczyli z nadajnikiem. — Potem Góral zapytał przez telefon pokładowy: — Możesz dalej prowadzić, Herbert? — Naturalnie, że mogę — odpowiedziałem bez wahania, jakkolwiek jeszcze przed godziną zdawało mi się, że nie wysiedziabym w steru dłużej niż w jedną stronę. — Jak maszyna? — Trzyma się. Wprawdzie tylko „na słowo honoru“, ale się trzyma. Spróbujemy uruchomić radio. — A pożary w tym Sontazerze furt jeszcze widać, panie kapitanie — odezwał się Pryszczki ze swego stanowiska. — To dobrze. Uważaj, żeby nie gasty — powiedział Bujak. — Zgumnt podkręcił swoje wyczerpanie, przyjrzał im się zdaleka, pochylony na bok głowę, zamarszczył czoło, uniósł brwi, jakby się sam dziwił własnemu dziełu, i zapytał o kurs. — 45° — powiedziałem, zgodnie ze wskazaniami busoli. — Spojrzał na zegarek i po namyśle podał nowy kurs, wprost na północ. — I masz wyjść 12 mil w prawo od Cherbourg, a potem prosto na Portsmouth. — Powiedziałem, że spróbuję, choć kurs jest „na słowo honoru“. — Sprawdzimy przed brzegiem — odrzekł i wywniósł się do kabiny radio. — W kilka minut potem Pryszczki zamel-

— Bo się Zgumntowi mapa skończyła — powiedziałam złośliwie. — Spojrzałem na busole. — Kurs mamy na Paryż, zdaje się — zauważyłem. — Zgumnt wzruszył ramionami. — To właśnie dobrze — stwierdził. — Będziemy wracali ile się da nad lądem; wyjdziemy na prawo od Cherbourg. Leć dalej tym kursem. — Wysiedliśmy z reflektorów, i „Lucy“ wstrząsana ustawicznymi dreszczami, — nie wiem spowodu uszkodzenia sterów, czy też wskutek ogolnienia całego kadłuba, — ciężko przebiegała się przez silny wiatr eozolowy na północo-wschód. — Po chwili zauważyłem, że traci zwolna wysokość, jakkolwiek leciałem na dwa i pół „boosta“ i 2350 obrotów. Szybkość zaraz po ugaszeniu pożaru spadła do 120 mil na godzinę, a wzmagający się wiatr hamował ją jeszcze bardziej. Szczęściem, silniki pracowały równo, a zbiorniki benzyny nie zostały naruszone przez wybuch poisku, bo zużycie paliwa wzrosło normalnie, tylko wskutek zwiększonych obrotów. — Zgumnt zagłębił się w obliczeniach. Bujak zamilkł, bo nie szczególnego się nie działo, a księżyc zakryły chmury i noc zrobiła się czarna jak atrament. Ja nasłuchiwałem warkotu silników i odgłosów wicheru szalającego w kratownicy kadłuba. — W pewnej chwili usłyszałem także głos Pryszczki, który rozmawiał z Góralem: — Nie podobno, panie kapitanie. Nic wogóle mi nie uszkodzili, tylko celownik poszedł w drobne kaski. Ale hydraulika w porządku... — Zostanę, panie kapitanie. Tam tera wieje jak cholera, a ja na przeciagi jestem wrażliwy... — Uśmiechnąłem się: Pryszczki postanowił dzielnie wytrwać w swojej tylniej wieżyczce, z celownikiem rozbitym przez pocisk, choć groziło jej oderwanie od maszyny gdyby zlamany się nadwałtownie dźwigiary kadłuba. Starała tam daleko od nas, w tyle, za sterami, samotna, wstrząsana pędem, nie pewna u końca kratownicy, jakby zawieszona nad przepaścią, w którą mogła się zwałić lada chwila wraz ze strzelcem. Ale on nie chciał jej opuścić, bo nie lubił przeciagów... — Tymczasem Koza, balansując na wąskim blaszanym pomoście, przez który rwały potężne podmuchy, usiłował złowić koniec anteny posiwstającej w ciemności i miotanej wicherem. Wła się jak rozwścieczona żmija, bila po zębach ogona, patała się między ścięganymi, wyrwała mu się z dłoni. Złapał ją wreszcie we dwóch z Góralem i — mając pod nogami 12 000 stóp otchłani, dokoła zaś ciemność ewaluującą z wicherem — pomocarni przytwierdził ją do izolatora i pomalczyli z nadajnikiem. — Potem Góral zapytał przez telefon pokładowy: — Możesz dalej prowadzić, Herbert? — Naturalnie, że mogę — odpowiedziałem bez wahania, jakkolwiek jeszcze przed godziną zdawało mi się, że nie wysiedziabym w steru dłużej niż w jedną stronę. — Jak maszyna? — Trzyma się. Wprawdzie tylko „na słowo honoru“, ale się trzyma. Spróbujemy uruchomić radio. — A pożary w tym Sontazerze furt jeszcze widać, panie kapitanie — odezwał się Pryszczki ze swego stanowiska. — To dobrze. Uważaj, żeby nie gasty — powiedział Bujak. — Zgumnt podkręcił swoje wyczerpanie, przyjrzał im się zdaleka, pochylony na bok głowę, zamarszczył czoło, uniósł brwi, jakby się sam dziwił własnemu dziełu, i zapytał o kurs. — 45° — powiedziałem, zgodnie ze wskazaniami busoli. — Spojrzał na zegarek i po namyśle podał nowy kurs, wprost na północ. — I masz wyjść 12 mil w prawo od Cherbourg, a potem prosto na Portsmouth. — Powiedziałem, że spróbuję, choć kurs jest „na słowo honoru“. — Sprawdzimy przed brzegiem — odrzekł i wywniósł się do kabiny radio. — W kilka minut potem Pryszczki zamel-

— Bo się Zgumntowi mapa skończyła — powiedziałam złośliwie. — Spojrzałem na busole. — Kurs mamy na Paryż, zdaje się — zauważyłem. — Zgumnt wzruszył ramionami. — To właśnie dobrze — stwierdził. — Będziemy wracali ile się da nad lądem; wyjdziemy na prawo od Cherbourg. Leć dalej tym kursem. — Wysiedliśmy z reflektorów, i „Lucy“ wstrząsana ustawicznymi dreszczami, — nie wiem spowodu uszkodzenia sterów, czy też wskutek ogolnienia całego kadłuba, — ciężko przebiegała się przez silny wiatr eozolowy na północo-wschód. — Po chwili zauważyłem, że traci zwolna wysokość, jakkolwiek leciałem na dwa i pół „boosta“ i 2350 obrotów. Szybkość zaraz po ugaszeniu pożaru spadła do 120 mil na godzinę, a wzmagający się wiatr hamował ją jeszcze bardziej. Szczęściem, silniki pracowały równo, a zbiorniki benzyny nie zostały naruszone przez wybuch poisku, bo zużycie paliwa wzrosło normalnie, tylko wskutek zwiększonych obrotów. — Zgumnt zagłębił się w obliczeniach. Bujak zamilkł, bo nie szczególnego się nie działo, a księżyc zakryły chmury i noc zrobiła się czarna jak atrament. Ja nasłuchiwałem warkotu silników i odgłosów wicheru szalającego w kratownicy kadłuba. — W pewnej chwili usłyszałem także głos Pryszczki, który rozmawiał z Góralem: — Nie podobno, panie kapitanie. Nic wogóle mi nie uszkodzili, tylko celownik poszedł w drobne kaski. Ale hydraulika w porządku... — Zostanę, panie kapitanie. Tam tera wieje jak cholera, a ja na przeciagi jestem wrażliwy... — Uśmiechnąłem się: Pryszczki postanowił dzielnie wytrwać w swojej tylniej wieżyczce, z celownikiem rozbitym przez pocisk, choć groziło jej oderwanie od maszyny gdyby zlamany się nadwałtownie dźwigiary kadłuba. Starała tam daleko od nas, w tyle, za sterami, samotna, wstrząsana pędem, nie pewna u końca kratownicy, jakby zawieszona nad przepaścią, w którą mogła się zwałić lada chwila wraz ze strzelcem. Ale on nie chciał jej opuścić, bo nie lubił przeciagów... — Tymczasem Koza, balansując na wąskim blaszanym pomoście, przez który rwały potężne podmuchy, usiłował złowić koniec anteny posiwstającej w ciemności i miotanej wicherem. Wła się jak rozwścieczona żmija, bila po zębach ogona, patała się między ścięganymi, wyrwała mu się z dłoni. Złapał ją wreszcie we dwóch z Góralem i — mając pod nogami 12 000 stóp otchłani, dokoła zaś ciemność ewaluującą z wicherem — pomocarni przytwierdził ją do izolatora i pomalczyli z nadajnikiem. — Potem Góral zapytał przez telefon pokładowy: — Możesz dalej prowadzić, Herbert? — Naturalnie, że mogę — odpowiedziałem bez wahania, jakkolwiek jeszcze przed godziną zdawało mi się, że nie wysiedziabym w steru dłużej niż w jedną stronę. — Jak maszyna? — Trzyma się. Wprawdzie tylko „na słowo honoru“, ale się trzyma. Spróbujemy uruchomić radio. — A pożary w tym Sontazerze furt jeszcze widać, panie kapitanie — odezwał się Pryszczki ze swego stanowiska. — To dobrze. Uważaj, żeby nie gasty — powiedział Bujak. — Zgumnt podkręcił swoje wyczerpanie, przyjrzał im się zdaleka, pochylony na bok głowę, zamarszczył czoło, uniósł brwi, jakby się sam dziwił własnemu dziełu, i zapytał o kurs. — 45° — powiedziałem, zgodnie ze wskazaniami busoli. — Spojrzał na zegarek i po namyśle podał nowy kurs, wprost na północ. — I masz wyjść 12 mil w prawo od Cherbourg, a potem prosto na Portsmouth. — Powiedziałem, że spróbuję, choć kurs jest „na słowo honoru“. — Sprawdzimy przed brzegiem — odrzekł i wywniósł się do kabiny radio. — W kilka minut potem Pryszczki zamel-

— Bo się Zgumntowi mapa skończyła — powiedziałam złośliwie. — Spojrzałem na busole. — Kurs mamy na Paryż, zdaje się — zauważyłem. — Zgumnt wzruszył ramionami. — To właśnie dobrze — stwierdził. — Będziemy wracali ile się da nad lądem; wyjdziemy na prawo od Cherbourg. Leć dalej tym kursem. — Wysiedliśmy z reflektorów, i „Lucy“ wstrząsana ustawicznymi dreszczami, — nie wiem spowodu uszkodzenia sterów, czy też wskutek ogolnienia całego kadłuba, — ciężko przebiegała się przez silny wiatr eozolowy na północo-wschód. — Po chwili zauważyłem, że traci zwolna wysokość, jakkolwiek leciałem na dwa i pół „boosta“ i 2350 obrotów. Szybkość zaraz po ugaszeniu pożaru spadła do 120 mil na godzinę, a wzmagający się wiatr hamował ją jeszcze bardziej. Szczęściem, silniki pracowały równo, a zbiorniki benzyny nie zostały naruszone przez wybuch poisku, bo zużycie paliwa wzrosło normalnie, tylko wskutek zwiększonych obrotów. — Zgumnt zagłębił się w obliczeniach. Bujak zamilkł, bo nie szczególnego się nie działo, a księżyc zakryły chmury i noc zrobiła się czarna jak atrament. Ja nasłuchiwałem warkotu silników i odgłosów wicheru szalającego w kratownicy kadłuba. — W pewnej chwili usłyszałem także głos Pryszczki, który rozmawiał z Góralem: — Nie podobno, panie kapitanie. Nic wogóle mi nie uszkodzili, tylko celownik poszedł w drobne kaski. Ale hydraulika w porządku... — Zostanę, panie kapitanie. Tam tera wieje jak cholera, a ja na przeciagi jestem wrażliwy... — Uśmiechnąłem się: Pryszczki postanowił dzielnie wytrwać w swojej tylniej wieżyczce, z celownikiem rozbitym przez pocisk, choć groziło jej oderwanie od maszyny gdyby zlamany się nadwałtownie dźwigiary kadłuba. Starała tam daleko od nas, w tyle, za sterami, samotna, wstrząsana pędem, nie pewna u końca kratownicy, jakby zawieszona nad przepaścią, w którą mogła się zwałić lada chwila wraz ze strzelcem. Ale on nie chciał jej opuścić, bo nie lubił przeciagów... — Tymczasem Koza, balansując na wąskim blaszanym pomoście, przez który rwały potężne podmuchy, usiłował złowić koniec anteny posiwstającej w ciemności i miotanej wicherem. Wła się jak rozwścieczona żmija, bila po zębach ogona, patała się między ścięganymi, wyrwała mu się z dłoni. Złapał ją wreszcie we dwóch z Góralem i — mając pod nogami 12 000 stóp otchłani, dokoła zaś ciemność ewaluującą z wicherem — pomocarni przytwierdził ją do izolatora i pomalczyli z nadajnikiem. — Potem Góral zapytał przez telefon pokładowy: — Możesz dalej prowadzić, Herbert? — Naturalnie, że mogę — odpowiedziałem bez wahania, jakkolwiek jeszcze przed godziną zdawało mi się, że nie wysiedziabym w steru dłużej niż w jedną stronę. — Jak maszyna? — Trzyma się. Wprawdzie tylko „na słowo honoru“, ale się trzyma. Spróbujemy uruchomić radio. — A pożary w tym Sontazerze furt jeszcze widać, panie kapitanie — odezwał się Pryszczki ze swego stanowiska. — To dobrze. Uważaj, żeby nie gasty — powiedział Bujak. — Zgumnt podkręcił swoje wyczerpanie, przyjrzał im się zdaleka, pochylony na bok głowę, zamarszczył czoło, uniósł brwi, jakby się sam dziwił własnemu dziełu, i zapytał o kurs. — 45° — powiedziałem, zgodnie ze wskazaniami busoli. — Spojrzał na zegarek i po namyśle podał nowy kurs, wprost na północ. — I masz wyjść 12 mil w prawo od Cherbourg, a potem prosto na Portsmouth. — Powiedziałem, że spróbuję, choć kurs jest „na słowo honoru“. — Sprawdzimy przed brzegiem — odrzekł i wywniósł się do kabiny radio. — W kilka minut potem Pryszczki zamel-

— Bo się Zgumntowi mapa skończyła — powiedziałam złośliwie. — Spojrzałem na busole. — Kurs mamy na Paryż, zdaje się — zauważyłem. — Zgumnt wzruszył ramionami. — To właśnie dobrze — stwierdził. — Będziemy wracali ile się da nad lądem; wyjdziemy na prawo od Cherbourg. Leć dalej tym kursem. — Wysiedliśmy z reflektorów, i „Lucy“ wstrząsana ustawicznymi dreszczami, — nie wiem spowodu uszkodzenia sterów, czy też wskutek ogolnienia całego kadłuba, — ciężko przebiegała się przez silny wiatr eozolowy na północo-wschód. — Po chwili zauważyłem, że traci zwolna wysokość, jakkolwiek leciałem na dwa i pół „boosta“ i 2350 obrotów. Szybkość zaraz po ugaszeniu pożaru spadła do 120 mil na godzinę, a wzmagający się wiatr hamował ją jeszcze bardziej. Szczęściem, silniki pracowały równo, a zbiorniki benzyny nie zostały naruszone przez wybuch poisku, bo zużycie paliwa wzrosło normalnie, tylko wskutek zwiększonych obrotów. — Zgumnt zagłębił się w obliczeniach. Bujak zamilkł, bo nie szczególnego się nie działo, a księżyc zakryły chmury i noc zrobiła się czarna jak atrament. Ja nasłuchiwałem warkotu silników i odgłosów wicheru szalającego w kratownicy kadłuba. — W pewnej chwili usłyszałem także głos Pryszczki, który rozmawiał z Góralem: — Nie podobno, panie kapitanie. Nic wogóle mi nie uszkodzili, tylko celownik poszedł w drobne kaski. Ale hydraulika w porządku... — Zostanę, panie kapitanie. Tam tera wieje jak cholera, a ja na przeciagi jestem wrażliwy... — Uśmiechnąłem się: Pryszczki postanowił dzielnie wytrwać w swojej tylniej wieżyczce, z celownikiem rozbitym przez pocisk, choć groziło jej oderwanie od maszyny gdyby zlamany się nadwałtownie dźwigiary kadłuba. Starała tam daleko od nas, w tyle, za sterami, samotna, wstrząsana pędem, nie pewna u końca kratownicy, jakby zawieszona nad przepaścią, w którą mogła się zwałić lada chwila wraz ze strzelcem. Ale on nie chciał jej opuścić, bo nie lubił przeciagów... — Tymczasem Koza, balansując na wąskim blaszanym pomoście, przez który rwały potężne podmuchy, usiłował złowić koniec anteny posiwstającej w ciemności i miotanej wicherem. Wła się jak rozwścieczona żmija, bila po zębach ogona, patała się między ścięganymi, wyrwała mu się z dłoni. Złapał ją wreszcie we dwóch z Góralem i — mając pod nogami 12 000 stóp otchłani, dokoła zaś ciemność ewaluującą z wicherem — pomocarni przytwierdził ją do izolatora i pomalczyli z nadajnikiem. — Potem Góral zapytał przez telefon pokładowy: — Możesz dalej prowadzić, Herbert? — Naturalnie, że mogę — odpowiedziałem bez wahania, jakkolwiek jeszcze przed godziną zdawało mi się, że nie wysiedziabym w steru dłużej niż w jedną stronę. — Jak maszyna? — Trzyma się. Wprawdzie tylko „na słowo honoru“, ale się trzyma. Spróbujemy uruchomić radio. — A pożary w tym Sontazerze furt jeszcze widać, panie kapitanie — odezwał się Pryszczki ze swego stanowiska. — To dobrze. Uważaj, żeby nie gasty — powiedział Bujak. — Zgumnt podkręcił swoje wyczerpanie, przyjrzał im się zdaleka, pochylony na bok głowę, zamarszczył czoło, uniósł brwi, jakby się sam dziwił własnemu dziełu, i zapytał o kurs. — 45° — powiedziałem, zgodnie ze wskazaniami busoli. — Spojrzał na zegarek i po namyśle podał nowy kurs, wprost na północ. — I masz wyjść 12 mil w prawo od Cherbourg, a potem prosto na Portsmouth. — Powiedziałem, że spróbuję, choć kurs jest „na słowo honoru“. — Sprawdzimy przed brzegiem — odrzekł i wywniósł się do kabiny radio. — W kilka minut potem Pryszczki zamel-

— Bo się Zgumntowi mapa skończyła — powiedziałam złośliwie. — Spojrzałem na busole. — Kurs mamy na Paryż, zdaje się — zauważyłem. — Zgumnt wzruszył ramionami. — To właśnie dobrze — stwierdził. — Będziemy wracali ile się da nad lądem; wyjdziemy na prawo od Cherbourg. Leć dalej tym kursem. — Wysiedliśmy z reflektorów, i „Lucy“ wstrząsana ustawicznymi dreszczami, — nie wiem spowodu uszkodzenia sterów, czy też wskutek ogolnienia całego kadłuba, — ciężko przebiegała się przez silny wiatr eozolowy na północo-wschód. — Po chwili zauważyłem, że traci zwolna wysokość, jakkolwiek leciałem na dwa i pół „boosta“ i 2350 obrotów. Szybkość zaraz po ugaszeniu pożaru spadła do 120 mil na godzinę, a wzmagający się wiatr hamował ją jeszcze bardziej. Szczęściem, silniki pracowały równo, a zbiorniki benzyny nie zostały naruszone przez wybuch poisku, bo zużycie paliwa wzrosło normalnie, tylko wskutek zwiększonych obrotów. — Zgumnt zagłębił się w obliczeniach. Bujak zamilkł, bo nie szczególnego się nie działo, a księżyc zakryły chmury i noc zrobiła się czarna jak atrament. Ja nasłuchiwałem warkotu silników i odgłosów wicheru szalającego w kratownicy kadłuba. — W pewnej chwili usłyszałem także głos Pryszczki, który rozmawiał z Góralem: — Nie podobno, panie kapitanie. Nic wogóle mi nie uszkodzili, tylko celownik poszedł w drobne kaski. Ale hydraulika w porządku... — Zostanę, panie kapitanie. Tam tera wieje jak cholera, a ja na przeciagi jestem wrażliwy... — Uśmiechnąłem się: Pryszczki postanowił dzielnie wytrwać w swojej tylniej wieżyczce, z celownikiem rozbitym przez pocisk, choć groziło jej oderwanie od maszyny gdyby zlamany się nadwałtownie dźwigiary kadłuba. Starała tam daleko od nas, w tyle, za sterami, samotna, wstrząsana pędem, nie pewna u końca kratownicy, jakby zawieszona nad przepaścią, w którą mogła się zwałić lada chwila wraz ze strzelcem. Ale on nie chciał jej opuścić, bo nie lubił przeciagów... — Tymczasem Koza, balansując na wąskim blaszanym pomoście, przez który rwały potężne podmuchy, usiłował złowić koniec anteny posiwstającej w ciemności i miotanej wicherem. Wła się jak rozwścieczona żmija, bila po zębach ogona, patała się między ścięganymi, wyrwała mu się z dłoni. Złapał ją wreszcie we dwóch z Góralem i — mając pod nogami 12 000 stóp otchłani, dokoła zaś ciemność ewaluującą z wicherem — pomocarni przytwierdził ją do izolatora i pomalczyli z nadajnikiem. — Potem Góral zapytał przez telefon pokładowy: — Możesz dalej prowadzić, Herbert? — Naturalnie, że mogę — odpowiedziałem bez wahania, jakkolwiek jeszcze przed godziną zdawało mi się, że nie wysiedziabym w steru dłużej niż w jedną stronę. — Jak maszyna? — Trzyma się. Wprawdzie tylko „na słowo honoru“, ale się trzyma. Spróbujemy uruchomić radio. — A pożary w tym Sontazerze furt jeszcze widać, panie kapitanie — odezwał się Pryszczki ze swego stanowiska. — To dobrze. Uważaj, żeby nie gasty — powiedział Bujak. — Zgumnt podkręcił swoje wyczerpanie, przyjrzał im się zdaleka, pochylony na bok głowę, zamarszczył czoło, uniósł brwi, jakby się sam dziwił własnemu dziełu, i zapytał o kurs. — 45° — powiedziałem, zgodnie ze wskazaniami busoli. — Spojrzał na zegarek i po namyśle podał nowy kurs, wprost na północ. — I masz wyjść 12 mil w prawo od Cherbourg, a potem prosto na Portsmouth. — Powiedziałem, że spróbuję, choć kurs jest „na słowo honoru“. — Sprawdzimy przed brzegiem — odrzekł i wywniósł się do kabiny radio. — W kilka minut potem Pryszczki zamel-

— Bo się Zgumntowi mapa skończyła — powiedziałam złośliwie. — Spojrzałem na busole. — Kurs mamy na Paryż, zdaje się — zauważyłem. — Zgumnt wzruszył ramionami. — To właśnie dobrze — stwierdził. — Będziemy wracali ile się da nad lądem; wyjdziemy na prawo od Cherbourg. Leć dalej tym kursem. — Wysiedliśmy z reflektorów, i „Lucy“ wstrząsana ustawicznymi dreszczami, — nie wiem spowodu uszkodzenia sterów, czy też wskutek ogolnienia całego kadłuba, — ciężko przebiegała się przez silny wiatr eozolowy na północo-wschód. — Po chwili zauważyłem, że traci zwolna wysokość, jakkolwiek leciałem na dwa i pół „boosta“ i 2350 obrotów. Szybkość zaraz po ugaszeniu pożaru spadła do 120 mil na godzinę, a wzmagający się wiatr hamował ją jeszcze bardziej. Szczęściem, silniki pracowały równo, a zbiorniki benzyny nie zostały naruszone przez wybuch poisku, bo zużycie paliwa wzrosło normalnie, tylko wskutek zwiększonych obrotów. — Zgumnt zagłębił się w obliczeniach. Bujak zamilkł, bo nie szczególnego się nie działo, a księżyc zakryły chmury i noc zrobiła się czarna jak atrament. Ja nasłuchiwałem warkotu silników i odgłosów wicheru szalającego w kratownicy kadłuba. — W pewnej chwili usłyszałem także głos Pryszczki, który rozmawiał z Góralem: — Nie podobno, panie kapitanie. Nic wogóle mi nie uszkodzili, tylko celownik poszedł w drobne kaski. Ale hydraulika w porządku... — Zostanę, panie kapitanie. Tam tera wieje jak cholera, a ja na przeciagi jestem wrażliwy... — Uśmiechnąłem się: Pryszczki postanowił dzielnie wytrwać w swojej tylniej wieżyczce, z celownikiem rozbitym przez pocisk, choć groziło jej oderwanie od maszyny gdyby zlamany się nadwałtownie dźwigiary kadłuba. Starała tam daleko od nas, w tyle, za sterami, samotna, wstrząsana pędem, nie pewna u końca kratownicy, jakby zawieszona nad przepaścią, w którą mogła się zwałić lada chwila wraz ze strzelcem. Ale on nie chciał jej opuścić, bo nie lubił przeciagów... — Tymczasem Koza, balansując na wąskim blaszanym pomoście, przez który rwały potężne podmuchy, usiłował złowić koniec anteny posiwstającej w ciemności i miotanej wicherem. Wła się jak rozwścieczona żmija, bila po zębach ogona, patała się między ścięganymi, wyrwała mu się z dłoni. Złapał ją wreszcie we dwóch z Góralem i — mając pod nogami 12 000 stóp otchłani, dokoła zaś ciemność ewaluującą z wicherem — pomocarni przytwierdził ją do izolatora i pomalczyli z nadajnikiem. — Potem Góral zapytał przez telefon pokładowy: — Możesz dalej prowadzić, Herbert? — Naturalnie, że mogę — odpowiedziałem bez wahania, jakkolwiek jeszcze przed godziną zdawało mi się, że nie wysiedziabym w steru dłużej niż w jedną stronę. — Jak maszyna? — Trzyma się. Wprawdzie tylko „na słowo honoru“, ale się trzyma. Spróbujemy uruchomić radio. — A pożary w tym Sontazerze furt jeszcze widać, panie kapitanie — odezwał się Pryszczki ze swego stanowiska. — To dobrze. Uważaj, żeby nie gasty — powiedział Bujak. — Zgumnt podkręcił swoje wyczerpanie, przyjrzał im się zdaleka, pochylony na bok głowę, zamarszczył czoło, uniósł brwi, jakby się sam dziwił własnemu dziełu, i zapytał o kurs. — 45° — powiedziałem, zgodnie ze wskazaniami busoli. — Spojrza

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

NATACHNIENIE ŚWIATA

Znowu, w czwartą rocznicę wojny, odezwało się w Waszyngtonie słowo piękne, mądre a skrajnie, słowo o Polsce jako o „natchnieniu świata”.

Wojsko nasze nie mogło obronić kraju, mogło natomiast walczyć, dopóki walka była fizyczna, dopóki była fizyczna.

nie, czytamy bowiem, że „ostatecznie (sic!) — przyp. mój) Pilsudski był „kims”. Jednak — po tem „ostatecznie” i po tym „kims” następują dalsze wywody, które doprawdy warto zacytować jako przykład nieuczucia i prostactwa.

Słowo Prezydenta Stanów Zjednoczonych ma zakres ogromny. Zmieszczą się w niem ci jeńcy wojenni, którzy po trzy, po więcej razy, próbują ucieczki z Niemiec, i skatowani tylerokci, przecież podjęma nową próbę, by tylko za wszelką cenę wyrwać się, przebrnąć przez wszystkie przeszkody i chwycić jeszcze raz za broń.

Broszura, o której mówię, ma insynuacyjny, obliczony na łatwomyślnych, tytuł „Żerowanie na Pilsudskim”. Nie chce dochochidz kim jest jej autor, kryjący się pod nazwiskiem Pawła Nowaka.

Pilsudski „pozwalal się zamknąć w Magdeburgu”! I takie rzeczy czytamy dziś, gdy nazwisko Pilsudskiego dla lotnika, marynarza, żołnierza, dla ludzi w Kraju, coraz bardziej staje się synonimem wszystkiego cośmy stracili a bez czego nie możemy żyć i oddychać!

Słowo to, obejmując wszystkie poszczególne etapy czterech lat wojny i meki, cofa się aż do czarnego, smutnego a bohaterstkiego Września i pokrywa go bez reszty. My, którzy widzieliśmy żołnierzy francuskich, jak na wieść o zawieszeniu broni, tańczyli z radości, widzieliśmy ciągle żołnierzy naszych, jak na granicy calują karabiny i czolgi, jak placzą i klną.

Przyjmijmy, że Polska mogłaby, zainicjując pasy, zdobyć się na dziesięć razy więcej armat i czołgów, przyjmijmy, że nie jedząc, nie pijąc, nie śpiąc, wypruła by z siebie kapitał, potrzebny na uzbrojenie, na sprzęt nowoczesny — czy rezultat wojny zmieniłby się dzięki temu w sposób zasadniczy?

Jeszcze raz podkreślam, że nie chce dochochidz, kto jest autorem i kto inspirował ten broszurę, oraz za czym staniem została wydana. To pewna, że z każdej karty wzięta „dusza pańszczyżniana”.

Ten retrospektywny skrót „natchnienia świata” sięga jeszcze dalej i głębiej, bo do chwili, gdy z ust polskiego ministra spraw zagranicznych padło słowo „nie”, wypowiedziane w maju 1939 r. Było ono chronologicznie pierwsze, było nowe, śmiałe i twarde. Musiało zdziwić świat a przedewszystkiem tych, którzy dotychczas na każde żądanie i pociągali się z odpowiedzią układową, pokorną i ścisłą.

Oto jest nasz stosunek do sprawy, która stanowi „natchnienie świata”. Pan Paweł Nowak spodziwiał się, że wojsko nie wpuszc dwóch wrogów, uderzających z obu stron! I jakich wrogów! Jak potężnych! Ależ to wojsko zrobiło więcej, niż mogło! Ależ jego postawa, jego zdecydowanie gotowości do walki, mogą stanowić wzór niedościgły dla tylu innych armii!

W tym samym duchu pojednawczym określił stosunki polsko-rosyjskie, po utworzeniu nowego rządu polskiego, prezes rady ministrów p. Mikołajczyk w oświadczeniu rządowym wobec Rady Narodowej 27 lipca 1943.

Wspomniałem, że mamy bielmo na oczach. Więcej: my nie chcemy widzieć. Na przełomie czwartego i piątego roku wojny ukazała się w Anglii przedziwna broszura, w której spotykamy się z krytyką kampanji wrześniowej, czytając słowa: „Zadaniem wojska jest nie umierać, ale obronić swój kraj.

Przebieg wojny, że jest ona właśnie produktem atmosfery, wytwarzanej przez te szatańskie dusze pańszczyżniane, którą tak zwalał i potępiał poseł chłopski, Bojko. Opowiada o nim Stefanja Sempłowska rzecz następującą, która zasła w r. 1898 lub w r. 1899: „Przyjechał do Warszawy z Galicji pierwszy poseł chłopski: Jakób Bojko.

„Ależ w tym gęście jest natchnienie! I w tym gęście jest chłop o duszy wyzwolonej, o duszy wspaniałej. I w tym gęście jest coś z Piasta! I z Witosa! I z tych wszystkich chłopów, którzy w września szukali broni i przydziału.

8 GRUCZOŁÓW decyduje o twoim losie

[obecnie zaś możesz] [regenerować gruczoły]

NAUKA WSPÓŁCZESNA dotarła do źródła życia ludzkiego — do gruczołów. Poprzez odradzanie gruczołów otwierają się nowe korony życia.

Człowiek ma tyle lat ile jego gruczoły... Od mocy i równowagi tego wydziałania zależy twoja siła. Sprawność twoja osiąga najwyższy poziom tylko wtedy, gdy gruczoły twoje funkcjonują właściwie.

HORMONOTERAPIA jest nauką o odmiadlanu przez odradzanie gruczołów. Dział w sposób odwrótny niż lektarium — odbudowuje nowo, zamiast tylko podniecać energię życiową.

Restauracja CHEZ AUGUSTE Kuchnia francuska Kierownictwo francuskie 38, Old Compton St., W.1, tel. GER 2655

Restauracja CHEZ AUGUSTE Kuchnia francuska Kierownictwo francuskie 38, Old Compton St., W.1, tel. GER 2655

KAŻDY POLAK który pragnąłby otrzymać NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ św. JANA w języku polskim, zachęca iaskawie zwrócić się do

JEZYK ANGIELSKI Kursy korespondencyjne. Doświadczona nauczycielka udziela specjalnych lekcji angielskiego drogą korespondencji.

PARK-WAY COURT 46, Lancaster Gate, London, W. 2 tel.: PADdington 1012

Pokoje dla oficerów ze śniadaniem i kapela 10/6 dziennie, £2, 12s. 6d. tygodniowo Napoje i przekąski przy bufciecie

WHITE TOWER RESTAURANT 1, Percy Street, Tottenham Court Rd., W.1

Śniadania i obiady Kuchnia grecka — wina greckie Zamknięta w niedziele

BELGRAVIA HOTEL 86, Belgrave Road, London, S.W.1 (kolo Victoria Station) tel. VICtoria 1649

Restauracja CHEZ AUGUSTE Kuchnia francuska Kierownictwo francuskie 38, Old Compton St., W.1, tel. GER 2655

Restauracja CHEZ AUGUSTE Kuchnia francuska Kierownictwo francuskie 38, Old Compton St., W.1, tel. GER 2655

KAŻDY POLAK który pragnąłby otrzymać NOWY TESTAMENT lub EWANGELIĘ św. JANA w języku polskim, zachęca iaskawie zwrócić się do

JEZYK ANGIELSKI Kursy korespondencyjne. Doświadczona nauczycielka udziela specjalnych lekcji angielskiego drogą korespondencji.



Coraz powszechniej używają oficerowie PASTY NUGGET WOJSKOWY BRAZ (w pełnym tonie koloru) dla nadania swym bucikom pięknego polysku i elegancji

UCZCIE SIĘ ANGIELSKIEGO TERAZ Kursy elementarne i średnie, codziennie od godz. 9 rano do godz. 10 wiecz.

LE COQ D'OR RESTAURANT MAISON FRANÇAISE Sala restauracyjna, większe i mniejsze sale bankietowe

POLSKI KUŚNIERZ dawniej w Katowicach LANGER & COMPANY (Furriers) LTD. Wykonują futra NOWE i przeróbki wszelkiego rodzaju.

BRYLANTY ZDROŻAŁY O 100% PŁACIMY NAJWYŻSZE CENY W LONDYNIE ZA BRYLANTY ZŁOTO I SREBRNO ZA UNGJE

LA SPERANZA RESTAURACJA otwarta codziennie od godz. 10 wiecz. 179, BROMPTON ROAD, S.W.3

Komitet Zarządzający OGNISKA POLSKIEGO podaje do wiadomości, że urządzi w każdą sobotę o godz. 18.30 w budynku OGNISKA przy Belgrave Square, 45, Londyn, S.W.1, wieczorki dla wojska, lotnictwa i marynarzy.

POD NOWYM ZARZĄDEM RESTAURACJA FRANCUSKA LACOUILLE 78, ST. MARTINS LANE LONDON, W.O. Tel.: TEMple Bar 8788

Pod kierownictwem byłej firmy EBEL & STEINER (Katowice) przyjmujemy zamówienia na wykątną białą muską na miarę oraz podejmujemy się wszystkich napraw

RESTAURANT des GOURMETS Kuchnia kontynentalna z prawem wyszynku Zapas przednich lin francuskich 47, 48 & 49, Lisle Street, Leicester Square, W.C.2

L'ESCARGOT BIANVENU RESTAURANT maitre francis Partners: Geo Gaudin, Alex Gaudin (French) Service à la carte 48, Greek Street, Shaftesbury Ave., London, W.1

Vaněk KRAWIEC i KUŚNIERZ CZESKI Korzystna zamiana i kupno futer w dobrym stanie Pierwszorzędne kostiumy i palta zimowe na zamówienie

B. BOSHER & SONS 464, Edgware Road, London, W. 2 tel.: PADdington 1482 Secondhand Furs for Sale Loans on Furs and Jewellery Special Fur Storage

RESTAURANT des GOURMETS Kuchnia kontynentalna z prawem wyszynku Zapas przednich lin francuskich 47, 48 & 49, Lisle Street, Leicester Square, W.C.2

STANISŁAW STROŃSKI POLSKA I ROSJA: CO DALEJ? *

Zerwanu przez rząd Z.S.R.R. 25 kwietnia 1943 stosunków dyplomatycznych z rządem Rzeczypospolitej Polskiej czy też ich przerwanie, jak w niektórych głosach łagodniej to określano, a co na jedno wychodzi — różnica między temi wyrażeniami jest w tym przypadku pod względem prawnym nieuchwytna.

rozbiórów, nie należała do Rosji. Ta przesłoga setek lat sprawia, że ziemię tę żyły i żyją życiem Polski, a najzupełniej obca jest im Rosja.

nazajutrz 31 lipca 1941 oświadczył to samo p. Sumner Welles imieniem Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej.

Głowa rządu i wódz naczelny Z.S.R.R. p. Stalin, odpowiadając piśmie 4 maja 1943 na pisemne pytania przedstawiciela „New York Times” i londyńskich „Times”, w dziesięć dni po zerwaniu, oświadczył, że Z.S.R.R. pragnie istnienia po wojnie silnej i niezależnej Polski, oraz dobrych z nią stosunków lub i sojuszu przeciw Niemcom jako wspólnemu wrogowi Polski i Rosji.

Stanowisko polskie wyraża się i będzie się wyrażało, w najogólniejszym zarysie, tak: 1) Ziemię wschodnie odrozonęj po rozbiórach Rzeczypospolitej są tylko drobna cząstka jej przedrozbiorowego obszaru wschodniego. Stanowią one około 1/3 tego co miała do połowy w XVII, a 1/4 tego co miała do pierwszego rozbioru w r. 1772.

Takie jest i będzie niezmiennie stanowisko polskie najzupełniej u nas jednomyślne. Przynależność resztki dawnych ogromnych ziem wschodnich Rzeczypospolitej, które były we władaniu Z.S.R.R. od września 1939 do czerwca 1941.

W tym samym duchu pojednawczym określił stosunki polsko-rosyjskie, po utworzeniu nowego rządu polskiego, prezes rady ministrów p. Mikołajczyk w oświadczeniu rządowym wobec Rady Narodowej 27 lipca 1943.

2) Chociaż rząd nowej Rosji sowieckiej odrzuca w rozporządzeniu z 29 sierpnia 1918, a następnie w nocie do Polski z 30 stycznia 1920, podpisanie przez Lenina, uznał rozbiory Polski za zbrodnię, co dawało podstawę do przywrócenia między Polską a Rosją granicy przedrozbiorowej z r. 1772.

Wybór takiej drogi nie jest przypadkowy, że strony żadnego z nich wobec innych. Wchodzą we współdziałanie sojusznice nałożyły one sobie samym obowiązek porozumiewania się i osiągnięcia załatwień zgodnych. Lamanie się osiągnięcia załatwień na dobre żadnemu z nich, z największym nie byłoby przyjęte jako prawne i ostateczne w nowej budowie stosunków międzynarodowych po tej wojnie.

„Ależ w tym gęście jest natchnienie! I w tym gęście jest chłop o duszy wyzwolonej, o duszy wspaniałej. I w tym gęście jest coś z Piasta! I z Witosa! I z tych wszystkich chłopów, którzy w września szukali broni i przydziału.

3) Układ polsko-rosyjsko-ukraiński-białoruski w Rydze z 18 marca 1921 zawarty został w bardzo pojednawczym usposobieniu, z zamiarem trwałego uspokojenia i dobrych stosunków sąsiedzkich z poszanowaniem wzajemnym odrębnych ustrojów. Ustalenie granic dokonane było również zupełnie dobrowolnie w tym samym duchu.

Imieniem słowy, takie załatwienie jednostronne nie byłoby w ogóle załatwieniem, lecz pozostawiłoby sprawę na gruncie międzynarodowym otwartą.

„Ależ w tym gęście jest natchnienie! I w tym gęście jest chłop o duszy wyzwolonej, o duszy wspaniałej. I w tym gęście jest coś z Piasta! I z Witosa! I z tych wszystkich chłopów, którzy w września szukali broni i przydziału.

4) Przez cały okres 1921—1939, od układu ryckiego do wojny obecnej, to ustalenie granic nie tyle nie było nigdy zaczepiane przez Rosję sowiecką jako niesłuszne, lecz przeciwnie w układzie o niezaczeptaniu się wzajemnym z r. 1932, potwierdzonym w r. 1938, uznane nadal za dobrą podstawę spokojnego sąsiedztwa.

5) Polska odmówiła stanowco jakiegokolwiek współdziałania z Niemcami przeciw Rosji z przynęta nabytków w obszarze na wschodzie, mimo stałych zabiegów niemieckich o to od r. 1933, nawet w osobistych wystąpieniach Göringa w r. 1935 i Hitlera w styczniu 1939.

„Ależ w tym gęście jest natchnienie! I w tym gęście jest chłop o duszy wyzwolonej, o duszy wspaniałej. I w tym gęście jest coś z Piasta! I z Witosa! I z tych wszystkich chłopów, którzy w września szukali broni i przydziału.

6) Po wybuchu wojny między Niemcami a Rosją p. Stalin, w mowie z 3 lipca 1941, oświadczył, że układy z Niemcami z r. 1939, w okresie ich napadu na Polskę, miały na celu tylko lepsze przygotowanie się do obrony przeciw przewidywanemu ich napadowi następnemu na Rosję, a „Zwiestia” z 3 sierpnia 1941 stwierdziła, że zajęcie wschodniej Polski dla Sowietom możliwość odsunięcia uderzenia niemieckiego na linie Lwów—Brześć—Białystok, a nie od razu na linie Odesa—Mińsk, czyli że cel tego zajęcia był tylko wojenno-obronny.

7) Zarządzenie przez władze sowieckie w zajętych przez nie ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej t.zw. głosowania ludności celem wyborów do ciał sowieckich w październiku 1939, a następnie przeprowadzenie na tej podstawie w listopadzie 1939 t.zw. wielelnia tych ziem do Z.S.R.R., podobnie jak Niemcy przeprowadziły jednostronne t.zw. wielelnie ziem zachodnich Polski do Rzeszy, pozbawione jest znaczenia prawnego na gruncie międzynarodowym oraz w stosunkach wzajemnych między Polską a Z.S.R.R.

„Ależ w tym gęście jest natchnienie! I w tym gęście jest chłop o duszy wyzwolonej, o duszy wspaniałej. I w tym gęście jest coś z Piasta! I z Witosa! I z tych wszystkich chłopów, którzy w września szukali broni i przydziału.

8) Rząd w układzie z Polską z 30 lipca 1941 rząd Z.S.R.R. unieważnił bez zastrzeżeń swe umowy z Niemcami z r. 1939, dotyczące zmian terytorjalnych w Polsce; tegoż dnia 30 lipca 1941 nota brytyjska do rządu polskiego stwierdziła, że rząd Jego Królewskiej Mości nie uznaje żadnych zmian terytorjalnych dokonanych w Polsce od sierpnia 1939;

W zgodzie sama z sobą, znajduje się Rosja sowiecka w ten sposób również w zgodzie z Polską i ze Sprzymierzonymi, a w szczególności z Wielką Brytanią i ze Stanami Zjednoczonymi, które w r. 1923 uznały granice wschodnie Polski ustalone w układzie ryckim, a w r. 1941 niemiecki wyrażnie oświadczył, że nie uznają zmian dokonanych dowolnie w czasie wojny.

* por. „Tajemnicza Rosja” w nr. 180, „Polska i Rosja: 1921—1939” w nr. 181, „Polska i Rosja: 1939—1941” w nr. 182 i „Polska i Rosja: 1941—1943” w nr. 183 „Wiadomości Polskich”

Tylko takie załatwienie wydaje się — powinniśmy wyrażać się — możliwe, a oświadczenie kierownika polityki Z.S.R.R., marszałka Stalina, w szersze z 4 maja 1943, już po zgromadzeniu stosunków wzajemnych, mogłoby bodaj wskazywać że ta dążność weźmie jednak ostatecznie górę w Rosji sowieckiej.

STANISŁAW STROŃSKI

KRATA NA MURZE

Ta czternastka, na której siedzieliśmy, to była przed wojną chyba pojedynka, ale Katusia, która znała wszystkie polskie więzienia mówiła, że nie. Niemowlad. Za ciemno. Do takich ciemnych w Polsce normalnie nie zamknięto. Tu mogły być tylko „pokoje” administracyjne. Nawet napewno.

Teraz nas zamknięto, i to nie w „pojedynkę”, ale w jedenaście. Żeby było ciepło i wesoło, jak mówili. Raz jakiś dołowny dyżurny pocieszył nas nawet, gdy skarżyliśmy się na brak miejsca, że tak źle nie jest. W Polsce było „jeden”, a teraz tylko „jeden” dodali. I bardzo się śmiał. Sam. My nie.

Otóż cęła była wążka, bo trzy i pół kroku kobiecego na dziewięć, w tem cztery przyce, stół, stołek i my. Jedenaście...dziesięć...a potem już tylko dziewięć. Ale to na samym końcu. Zanim nas gładziejnie przeniosono.

Gdyśmy się z początku już bardzo awanturowali, dodano nam jeszcze jeden siennik, żeby miał gdzie spać pozostałe. Bo na przycech po dwie się niegładziły. Tak, gdy przyce były zajęte a jedna spała na ziemi, przyszedł ja i Czasia. Zamianiliśmy się. Tej nocy my na przycech, a tamte na ziemi. Innej — tamte na przycech, a my na ziemi. Dość niewygodnie było, bo nieczego wnteznas nie miałam przez futra. I to cieniućkie, paryskie, nie — jedynie skórka i jedwabna podszewka, żeby dobrze leżało.

Futro było mi materacem i okryciem równocześnie. Coś jak ta historyjka. — Na czym śpisz? Na worku. A czym się nakrywasz? Workiem. A co kładziesz pod głowę? Work. Więc ile ich masz? Jeden.

Nawet tak przechodziłam gorączkę tyfusową. A że wnteznas głowa bardzo boli, więc żeby wyżej było, buty mi pod głowę podłożono. I jakoś miękło. W normalnych warunkach byłby krzyk: „Rzadki wypadek”, lekarz, szpital, separata, zastrzyki! A tu nie. Kilka desek podłogi, futro na, futro pod, buty — a głowa? — gdy bardzo już światło lampy raziło — pod przyce. Przyszła „siostra”. Rozpoznała, zaopiniowała, dała tabliczkę piramidon na obniżenie temperatury. I nie. I minęło.

Wszystkich dwanaście. Patrzeć i patrzeć i coraz to nowe rzeczy odkrywać i opowiadać sobie jakieś historie, wywoływać obrazy minione i te, które przyjdą dopiero. Bo na murze, poprzez jego rysy, kresy, plamy, wglębienia, cienie i jasne rany, rysowały się przerożone diwyy.

Dobrze sobie było zapamiętać, że w tej a w tej kracie znajduje się to a to, a w tamtej znów, niżej, zupełnie coś innego, i to wszystko można było widzieć dopiero wnteznas, gdy się stanęło u drzwi samych i głowę trochę uniosło w górę, a tamto znów, gdy się siedziało na przyce po prawej stronie, tam gdzie nogi. Później doszło się już do takiej wprawy, że na ślepo wrazało się na miejsca do tych obrazów na murze, jak do dobrych znajomych. Również, zależnie od nastroju dnia czy chwili, oglądało się ten obrazek, omijając rozmyślnie inny. Jak biblioteka. Jak stare, znane, ale zawsze miłe pisma ilustrowane. Pamiętam z dzieciństwa, taką rozrywką były oprawione roczniki „Je Sais Tout”, „Fémmy”, „Lowe’a”, „Mojego Pisemka”. Najwięcej lubiłam „Je Sais Tout”. Mój syn także. Oglądał potem te same obrazki, które wchodziły w skład moich lat dziecińczych. Wszystkie teraz, spalone w ogniu Lomb niemieckich, przestały istnieć. Ale dzieciństwo istnieje. Moje — skończone w błogosci lat bezwojennych, w spokoju domu, w którym mieszkają rodzice i mieszka pogoda. Mojego syna — nie, bo trwa ono tam, gdzieś jeszcze, a przestało chyba być dzieciństwem...

Otóż miałam i tutaj na murze swoje specjalnie wybrane obrazy, tematy. Poza tem, jakkolwiek zależało od stopnia wyobraźni, no i tego, jak kto na co patrzy, czy widzi. Ja np. nigdy nie mogłam zobaczyć żołnierzy walczących w okopach, jak to widziała Hala, w miejscu, gdzie u mnie był las. Dlatego i stały zabudowania leśnicówki. Natomiast zupełnie łatwo zobaczyłam drogę kulparkowską i Stasiną mamę, niosącą butki z mlekiem do miasta, co Stasia z taką radością odkryła tam, gdzie ja miałam zasadnicę lekki powozik zaprzężony w konia, i na tym koniu panniek w dużym kapeluszu. Paniąka schylała głowę specjalnym bardzo kobiecym ruchem, ukazując kark o pieknie linij — jakaś makartowska dama. Ale namiętnym obrazem, głównym na samym środkowym obrazie, był obrazek z kwadratu okna, zajmującym aż dziewięć kwadratów okna, do którego wrazałam oczami, gdy bardzo mi trzeba było pocieszenia od kogoś bliskiego... na koniu z wyraźną białą strzałką na czole, na pięknym koniu, siedział jakiś dowódca francuski (wiek XVII) i trzymając cugle lewą ręką, prawą wraz ze szpadą wznosił do góry, jakby rozkaz wydaję, czy też zwywał żołnierzy do obrony. Do tego ostatka. Jakby przysięgał. Jakiej rangi mógł być, nie zastana-wiałam się nad tem. Mógł być porucznikiem królewskim. Nawet napewno. Ale strój bokserowy, jaki miał na sobie, aksamitny, koronki u ręk i szyi, kapelusze koliste ze strusim piórem, wspaniałe, może nieco nawet za długie, ale wspaniałe, znanionowaty grand-seigneur, jak mówi Dumas (ojciec). A ruch ręki, gest jakby natężony i ruch głowy, owal twarzy okolonej długimi włosami... nie — on był... Słów brakło. Był przelężny. Stał pod murem jakiejś fortyfikacji. Na prawo i lewo żołnierze na blanchach, muszkiety w ręce... Otóż to. Mieli kaptany, buty szerokie i wysokie, i kapelusze koliste. To byli muszkietery. Stał też właśnie widać, stał, to dowódca był Francuz. Zresztą...był podobny do kogoś... bardzo podobny — i dlatego musiał być Francuz. Wdali — naj-wyrażniej można było widzieć — jakiego szeregi idące do ataku. Na twierdze. A ci się bronili. Aha — muszkietery. XVII wiek, twierdza — to z pewnością La Rochelle. A te fortyfikacje, to jak nie bastion św. Sebastjana; i zaraz przypomniał się pamięci Athos, Porthos i Aramis i d'Artagnan, i śniadanie zjedzone na opuszczonym bastionie, i zabici ustawieni na murach, i książę Buckingham, i naszyjnik królowej, i słodka pani Bonacieux i t.d. i t.d., przez „30 i 10 lat później”.

Widziała na scenie lat moich, ale dlatego, że opowiadano mi, opowiadano dokładnie. Stał też zaraz poznałam. Solska w roli Psyche... I patrzyła na mnie... Zresztą z twarzy jej przez oczu nie widać nie było. Tylko ten rysunek postaci, to pochylenie głowy... Chryzantemy — wążka rzucana leżącą powyżej. Zdało się że to pastel, bo płatki kwiatów kontury miały zatarte. Bardzo delikatna robota. W dwóch tonach. To szare, jakto pod pastel zazwyczaj. Na prawo — trzeba się było zbliżyć do okna i stanąć ukosem — kolo rury biegnącej po murze, dwóch studentów (bo to w Galieji studentami się nazywali), klasa VI, VII. Gimnazjum austriackie jeszcze. Spokojnie, syte w dobrobycie czasy c.k. régime'u. Wysokie czapki, bardzo wysokie. Widać, elegancie szkolni. I kolnierze wysokie z paskami. Pasków może za dużo, ale to nie szkodzi. Widać dwa profile i ramiona. Jeden na tle drugiego. Patrz na coś uporeczywie, jakby sledzili w tłumie kogoś, kto może w tłumie tym zniknąć. Na ulicy Karola Ludwika, a może koło Banku Hipotecznego. Jeden starszy, twarz niedobra, twarz zepsuta, drugi młodszy rysy ma szlachetniejsze i dużo jeszcze świeżości dziecięcej w napół męskim owalu. Ten starszy napewno ma na niego już wpływ i właśnie wyprowadza go za jakąś dziewczynką. Rok? 1912. Czasy Wiednia i resztek secesji, parlamentu i sejmu, czasów namiestników, dobrej operetki, obchodów trzeciomałowych w kontuszach i rogatywkach, fiaków na gumach, jupercullot'ów i café-chantantów. Czasy hipokryzji, mieszczańskiej pseudomoralności, przysięgionej ciężką, nierzępaną od lat kotarą wiktoriałskości. Tam to gonili ci dwaj studenci. A najbardziej uroczą ze wszystkich młodzianka Manon Lescaut, rozmawia z starszym Kraszkowskim. Naprawdę! Cóż na to poradzę, że się tak ustawili zaraz w sąsiednim kwadracie! To nie moja wina. Stoję tak jeszcze dzisiaj, o ile mur ten jeszcze stoi — choć nie — musiał on otrzymać wiele nowych szram. Zresztą, sugestja miejsca... Tak mówią, nie ja, tylko inni uzeni ludzie... zatem ileż tam myśli człowieczych musiało teraz na nim zostać?!

Ciasnota celi bardzo nam dokuczała. Cóż — byliśmy wnteznas jeszcze młodymi wieźniami i wogóle pojęcia nie miałymy, co to jest więzienie, a przedewszystkiem co to jest ciasnota. O tem dowiedzieliśmy się dopiero później. Na Zamartynowie w tłumie, w Charkowie i dalej. Ale narazie śniły nam się sny o przestrzeni większej, aniżeli trzy kroki w tył i w przód, nie wiedząc, że na takich trzech krokach trzy żywe kobiety można jeszcze posiadać, dodając im czwartą dla równowagi. Ot, byliśmy naiwno... Cęła była bardzo cionna, tak cionna, że światło się paliło dzień i noc. W noc obowiązkowo, a w dzień nie ze względu na nas (jeżeliby chodzilo o nas, napewno trzymano by nas w ciemnicy), ale dyżurny musi przecież wiedzieć co się wewnątrz celi dzieje. Wiece lampka elektryczna, słaba zresztą, świeciła się stale. Czasem — czasem, ale to rzadko kiedy bywało, może gdzieś w czerwcu dopiero, gdy i słońce w samo południe bardzo jasno świeciło i padało ukosem na mur naprzeciw okna, wnteznas refleks od tego muru — drugim, skośnym odbiciem — rozświecał naszą cęła na tyle, że dyżurny decydował się gasić światło. Później, gdy nabrali do nas na tyle zaufania, by wiedzieć, że ani nie wieszamy się na żadnym cudem zdobytym sznurze, ani też niewiadomym plinikiem nie przepilnowujemy kraty, gasił jeszcze na naszą prośbę zaraz popołudniu. Ale narazie...

Wnteznas mrok panował zupełnie, jednak gdy oczy się przyzwyczaiły, można było rozróżnić osoby. Oczy odpooczywały. Ale to rzadko bywało i jedynie wnteznas, gdy na ten mur słońce...

Ten mur...

Był wysoki, szary, mur więzienny, obłuczony, gładziejnie wyszarygany, i w wielu miejscach tynk oblaścił z niego. Całymi płatami, to znów drobnitkco.

Okno nasze było naturalnie zakratowane, kwadratowe, wysoko umieszczone, jak okno wieżniacza. Ale nie miało siatek, jak inne okna wychodzące na zewnątrz. Było dobrym oknem, przechylnem. Bo w wiezieniu nawet przedmioty źle się do życia unosunkowują. Na każdym kroku. To jest zupełnie jawna nauka przedmiotów martwych. W dodatku nie okolicznościowa, jak to bywa na świecie (klucze się sehowa, rakiewiczki weisną pod cudzy kapelus, otówek stało się gdzieś zawieszony, szczególnie wnteznas gdy jest najwięcej potrzebny), tylko stała, złożyła i legalnie zorganizowana. Albo też przedmioty są oddany przyjacielem. Przedewszystkiem dobrym. Mającym serce dla więźnia. Ale rzadko się takie przedmioty spotyka. Do nich można zaliczyć kaloryfer (grzeje, suszy i można z niego kroszać iskry, gdy nie ma zapalek — naturalnie jedynie w tem miejscu, gdzie stracił lakier), następnie wszystkie wodociągi i rury. To szczególnie. Potem drut znalezione, kawalek szkła (bardzo ważne), kawalek cegły i takie tam nigdy nieprzewidziane drobniaczki. W tej celi było okno i krata.

Okno, bo — nie miało siatek, krata — bo dzieła muru na dwanaście równych kwadratów. Można sobie było wybrać jakiś kwadrat i patrzeć. Albo gdy przyszła ochota, na

Uderzenie pięścią w drzwi, i nagły błysk światła. Dyżurny zapalił lampę. Ściana ginie momentalnie, jakby ją ktoś kurtyną przysłonił. Błękitna. Bardzo szybko.

— Prigotawiajtes w ubornuju — bełkocze za drzwiami. — Siejczas pajditiue.

Wszystkie bez słowa powoli się podnoszą. Ciężko.

Tak dobrze było w tym przedwiecznym mroku.

Znikły makietki i chryzantemy, znikła lekka Manon i makartowska dama. Wszystko znikło, została potworna cęła i świadomość. Dobrze tylko, że ów dowódca francuski na koniu, rękę tak wysoko wznosi do góry, że pada na nią światło dnia, żywego jeszcze tam, ponad murami. W ręce trzyma szpadę i zęchę do obrony. Do wytrwania.

Dobrze.

Lubię tego dowódcę. Bardzo.

Wszystkie wnteznas jeszcze młodymi wieźniami i wogóle pojęcia nie miałymy, co to jest więzienie, a przedewszystkiem co to jest ciasnota. O tem dowiedzieliśmy się dopiero później. Na Zamartynowie w tłumie, w Charkowie i dalej. Ale narazie śniły nam się sny o przestrzeni większej, aniżeli trzy kroki w tył i w przód, nie wiedząc, że na takich trzech krokach trzy żywe kobiety można jeszcze posiadać, dodając im czwartą dla równowagi. Ot, byliśmy naiwno... Cęła była bardzo cionna, tak cionna, że światło się paliło dzień i noc. W noc obowiązkowo, a w dzień nie ze względu na nas (jeżeliby chodzilo o nas, napewno trzymano by nas w ciemnicy), ale dyżurny musi przecież wiedzieć co się wewnątrz celi dzieje. Wiece lampka elektryczna, słaba zresztą, świeciła się stale. Czasem — czasem, ale to rzadko kiedy bywało, może gdzieś w czerwcu dopiero, gdy i słońce w samo południe bardzo jasno świeciło i padało ukosem na mur naprzeciw okna, wnteznas refleks od tego muru — drugim, skośnym odbiciem — rozświecał naszą cęła na tyle, że dyżurny decydował się gasić światło. Później, gdy nabrali do nas na tyle zaufania, by wiedzieć, że ani nie wieszamy się na żadnym cudem zdobytym sznurze, ani też niewiadomym plinikiem nie przepilnowujemy kraty, gasił jeszcze na naszą prośbę zaraz popołudniu. Ale narazie...

Wnteznas mrok panował zupełnie, jednak gdy oczy się przyzwyczaiły, można było rozróżnić osoby. Oczy odpooczywały. Ale to rzadko bywało i jedynie wnteznas, gdy na ten mur słońce...

Ten mur...

Był wysoki, szary, mur więzienny, obłuczony, gładziejnie wyszarygany, i w wielu miejscach tynk oblaścił z niego. Całymi płatami, to znów drobnitkco.

Okno nasze było naturalnie zakratowane, kwadratowe, wysoko umieszczone, jak okno wieżniacza. Ale nie miało siatek, jak inne okna wychodzące na zewnątrz. Było dobrym oknem, przechylnem. Bo w wiezieniu nawet przedmioty źle się do życia unosunkowują. Na każdym kroku. To jest zupełnie jawna nauka przedmiotów martwych. W dodatku nie okolicznościowa, jak to bywa na świecie (klucze się sehowa, rakiewiczki weisną pod cudzy kapelus, otówek stało się gdzieś zawieszony, szczególnie wnteznas gdy jest najwięcej potrzebny), tylko stała, złożyła i legalnie zorganizowana. Albo też przedmioty są oddany przyjacielem. Przedewszystkiem dobrym. Mającym serce dla więźnia. Ale rzadko się takie przedmioty spotyka. Do nich można zaliczyć kaloryfer (grzeje, suszy i można z niego kroszać iskry, gdy nie ma zapalek — naturalnie jedynie w tem miejscu, gdzie stracił lakier), następnie wszystkie wodociągi i rury. To szczególnie. Potem drut znalezione, kawalek szkła (bardzo ważne), kawalek cegły i takie tam nigdy nieprzewidziane drobniaczki. W tej celi było okno i krata.

Okno, bo — nie miało siatek, krata — bo dzieła muru na dwanaście równych kwadratów. Można sobie było wybrać jakiś kwadrat i patrzeć. Albo gdy przyszła ochota, na

Uderzenie pięścią w drzwi, i nagły błysk światła. Dyżurny zapalił lampę. Ściana ginie momentalnie, jakby ją ktoś kurtyną przysłonił. Błękitna. Bardzo szybko.

— Prigotawiajtes w ubornuju — bełkocze za drzwiami. — Siejczas pajditiue.

Wszystkie bez słowa powoli się podnoszą. Ciężko.

Tak dobrze było w tym przedwiecznym mroku.

Znikły makietki i chryzantemy, znikła lekka Manon i makartowska dama. Wszystko znikło, została potworna cęła i świadomość. Dobrze tylko, że ów dowódca francuski na koniu, rękę tak wysoko wznosi do góry, że pada na nią światło dnia, żywego jeszcze tam, ponad murami. W ręce trzyma szpadę i zęchę do obrony. Do wytrwania.

Dobrze.

Lubię tego dowódcę. Bardzo.

Wszystkie wnteznas jeszcze młodymi wieźniami i wogóle pojęcia nie miałymy, co to jest więzienie, a przedewszystkiem co to jest ciasnota. O tem dowiedzieliśmy się dopiero później. Na Zamartynowie w tłumie, w Charkowie i dalej. Ale narazie śniły nam się sny o przestrzeni większej, aniżeli trzy kroki w tył i w przód, nie wiedząc, że na takich trzech krokach trzy żywe kobiety można jeszcze posiadać, dodając im czwartą dla równowagi. Ot, byliśmy naiwno... Cęła była bardzo cionna, tak cionna, że światło się paliło dzień i noc. W noc obowiązkowo, a w dzień nie ze względu na nas (jeżeliby chodzilo o nas, napewno trzymano by nas w ciemnicy), ale dyżurny musi przecież wiedzieć co się wewnątrz celi dzieje. Wiece lampka elektryczna, słaba zresztą, świeciła się stale. Czasem — czasem, ale to rzadko kiedy bywało, może gdzieś w czerwcu dopiero, gdy i słońce w samo południe bardzo jasno świeciło i padało ukosem na mur naprzeciw okna, wnteznas refleks od tego muru — drugim, skośnym odbiciem — rozświecał naszą cęła na tyle, że dyżurny decydował się gasić światło. Później, gdy nabrali do nas na tyle zaufania, by wiedzieć, że ani nie wieszamy się na żadnym cudem zdobytym sznurze, ani też niewiadomym plinikiem nie przepilnowujemy kraty, gasił jeszcze na naszą prośbę zaraz popołudniu. Ale narazie...

Wnteznas mrok panował zupełnie, jednak gdy oczy się przyzwyczaiły, można było rozróżnić osoby. Oczy odpooczywały. Ale to rzadko bywało i jedynie wnteznas, gdy na ten mur słońce...

Ten mur...

Był wysoki, szary, mur więzienny, obłuczony, gładziejnie wyszarygany, i w wielu miejscach tynk oblaścił z niego. Całymi płatami, to znów drobnitkco.

Okno nasze było naturalnie zakratowane, kwadratowe, wysoko umieszczone, jak okno wieżniacza. Ale nie miało siatek, jak inne okna wychodzące na zewnątrz. Było dobrym oknem, przechylnem. Bo w wiezieniu nawet przedmioty źle się do życia unosunkowują. Na każdym kroku. To jest zupełnie jawna nauka przedmiotów martwych. W dodatku nie okolicznościowa, jak to bywa na świecie (klucze się sehowa, rakiewiczki weisną pod cudzy kapelus, otówek stało się gdzieś zawieszony, szczególnie wnteznas gdy jest najwięcej potrzebny), tylko stała, złożyła i legalnie zorganizowana. Albo też przedmioty są oddany przyjacielem. Przedewszystkiem dobrym. Mającym serce dla więźnia. Ale rzadko się takie przedmioty spotyka. Do nich można zaliczyć kaloryfer (grzeje, suszy i można z niego kroszać iskry, gdy nie ma zapalek — naturalnie jedynie w tem miejscu, gdzie stracił lakier), następnie wszystkie wodociągi i rury. To szczególnie. Potem drut znalezione, kawalek szkła (bardzo ważne), kawalek cegły i takie tam nigdy nieprzewidziane drobniaczki. W tej celi było okno i krata.

Okno, bo — nie miało siatek, krata — bo dzieła muru na dwanaście równych kwadratów. Można sobie było wybrać jakiś kwadrat i patrzeć. Albo gdy przyszła ochota, na

Uderzenie pięścią w drzwi, i nagły błysk światła. Dyżurny zapalił lampę. Ściana ginie momentalnie, jakby ją ktoś kurtyną przysłonił. Błękitna. Bardzo szybko.

— Prigotawiajtes w ubornuju — bełkocze za drzwiami. — Siejczas pajditiue.

Wszystkie bez słowa powoli się podnoszą. Ciężko.

Tak dobrze było w tym przedwiecznym mroku.

Znikły makietki i chryzantemy, znikła lekka Manon i makartowska dama. Wszystko znikło, została potworna cęła i świadomość. Dobrze tylko, że ów dowódca francuski na koniu, rękę tak wysoko wznosi do góry, że pada na nią światło dnia, żywego jeszcze tam, ponad murami. W ręce trzyma szpadę i zęchę do obrony. Do wytrwania.

Dobrze.

Lubię tego dowódcę. Bardzo.

Wszystkie wnteznas jeszcze młodymi wieźniami i wogóle pojęcia nie miałymy, co to jest więzienie, a przedewszystkiem co to jest ciasnota. O tem dowiedzieliśmy się dopiero później. Na Zamartynowie w tłumie, w Charkowie i dalej. Ale narazie śniły nam się sny o przestrzeni większej, aniżeli trzy kroki w tył i w przód, nie wiedząc, że na takich trzech krokach trzy żywe kobiety można jeszcze posiadać, dodając im czwartą dla równowagi. Ot, byliśmy naiwno... Cęła była bardzo cionna, tak cionna, że światło się paliło dzień i noc. W noc obowiązkowo, a w dzień nie ze względu na nas (jeżeliby chodzilo o nas, napewno trzymano by nas w ciemnicy), ale dyżurny musi przecież wiedzieć co się wewnątrz celi dzieje. Wiece lampka elektryczna, słaba zresztą, świeciła się stale. Czasem — czasem, ale to rzadko kiedy bywało, może gdzieś w czerwcu dopiero, gdy i słońce w samo południe bardzo jasno świeciło i padało ukosem na mur naprzeciw okna, wnteznas refleks od tego muru — drugim, skośnym odbiciem — rozświecał naszą cęła na tyle, że dyżurny decydował się gasić światło. Później, gdy nabrali do nas na tyle zaufania, by wiedzieć, że ani nie wieszamy się na żadnym cudem zdobytym sznurze, ani też niewiadomym plinikiem nie przepilnowujemy kraty, gasił jeszcze na naszą prośbę zaraz popołudniu. Ale narazie...

Wnteznas mrok panował zupełnie, jednak gdy oczy się przyzwyczaiły, można było rozróżnić osoby. Oczy odpooczywały. Ale to rzadko bywało i jedynie wnteznas, gdy na ten mur słońce...

Ten mur...

Był wysoki, szary, mur więzienny, obłuczony, gładziejnie wyszarygany, i w wielu miejscach tynk oblaścił z niego. Całymi płatami, to znów drobnitkco.

Okno nasze było naturalnie zakratowane, kwadratowe, wysoko umieszczone, jak okno wieżniacza. Ale nie miało siatek, jak inne okna wychodzące na zewnątrz. Było dobrym oknem, przechylnem. Bo w wiezieniu nawet przedmioty źle się do życia unosunkowują. Na każdym kroku. To jest zupełnie jawna nauka przedmiotów martwych. W dodatku nie okolicznościowa, jak to bywa na świecie (klucze się sehowa, rakiewiczki weisną pod cudzy kapelus, otówek stało się gdzieś zawieszony, szczególnie wnteznas gdy jest najwięcej potrzebny), tylko stała, złożyła i legalnie zorganizowana. Albo też przedmioty są oddany przyjacielem. Przedewszystkiem dobrym. Mającym serce dla więźnia. Ale rzadko się takie przedmioty spotyka. Do nich można zaliczyć kaloryfer (grzeje, suszy i można z niego kroszać iskry, gdy nie ma zapalek — naturalnie jedynie w tem miejscu, gdzie stracił lakier), następnie wszystkie wodociągi i rury. To szczególnie. Potem drut znalezione, kawalek szkła (bardzo ważne), kawalek cegły i takie tam nigdy nieprzewidziane drobniaczki. W tej celi było okno i krata.

Okno, bo — nie miało siatek, krata — bo dzieła muru na dwanaście równych kwadratów. Można sobie było wybrać jakiś kwadrat i patrzeć. Albo gdy przyszła ochota, na

Uderzenie pięścią w drzwi, i nagły błysk światła. Dyżurny zapalił lampę. Ściana ginie momentalnie, jakby ją ktoś kurtyną przysłonił. Błękitna. Bardzo szybko.

— Prigotawiajtes w ubornuju — bełkocze za drzwiami. — Siejczas pajditiue.

Wszystkie bez słowa powoli się podnoszą. Ciężko.

Tak dobrze było w tym przedwiecznym mroku.

Znikły makietki i chryzantemy, znikła lekka Manon i makartowska dama. Wszystko znikło, została potworna cęła i świadomość. Dobrze tylko, że ów dowódca francuski na koniu, rękę tak wysoko wznosi do góry, że pada na nią światło dnia, żywego jeszcze tam, ponad murami. W ręce trzyma szpadę i zęchę do obrony. Do wytrwania.

Dobrze.

Lubię tego dowódcę. Bardzo.

Wszystkie wnteznas jeszcze młodymi wieźniami i wogóle pojęcia nie miałymy, co to jest więzienie, a przedewszystkiem co to jest ciasnota. O tem dowiedzieliśmy się dopiero później. Na Zamartynowie w tłumie, w Charkowie i dalej. Ale narazie śniły nam się sny o przestrzeni większej, aniżeli trzy kroki w tył i w przód, nie wiedząc, że na takich trzech krokach trzy żywe kobiety można jeszcze posiadać, dodając im czwartą dla równowagi. Ot, byliśmy naiwno... Cęła była bardzo cionna, tak cionna, że światło się paliło dzień i noc. W noc obowiązkowo, a w dzień nie ze względu na nas (jeżeliby chodzilo o nas, napewno trzymano by nas w ciemnicy), ale dyżurny musi przecież wiedzieć co się wewnątrz celi dzieje. Wiece lampka elektryczna, słaba zresztą, świeciła się stale. Czasem — czasem, ale to rzadko kiedy bywało, może gdzieś w czerwcu dopiero, gdy i słońce w samo południe bardzo jasno świeciło i padało ukosem na mur naprzeciw okna, wnteznas refleks od tego muru — drugim, skośnym odbiciem — rozświecał naszą cęła na tyle, że dyżurny decydował się gasić światło. Później, gdy nabrali do nas na tyle zaufania, by wiedzieć, że ani nie wieszamy się na żadnym cudem zdobytym sznurze, ani też niewiadomym plinikiem nie przepilnowujemy kraty, gasił jeszcze na naszą prośbę zaraz popołudniu. Ale narazie...

Wnteznas mrok panował zupełnie, jednak gdy oczy się przyzwyczaiły, można było rozróżnić osoby. Oczy odpooczywały. Ale to rzadko bywało i jedynie wnteznas, gdy na ten mur słońce...

Ten mur...

Był wysoki, szary, mur więzienny, obłuczony, gładziejnie wyszarygany, i w wielu miejscach tynk oblaścił z niego. Całymi płatami, to znów drobnitkco.

Okno nasze było naturalnie zakratowane, kwadratowe, wysoko umieszczone, jak okno wieżniacza. Ale nie miało siatek, jak inne okna wychodzące na zewnątrz. Było dobrym oknem, przechylnem. Bo w wiezieniu nawet przedmioty źle się do życia unosunkowują. Na każdym kroku. To jest zupełnie jawna nauka przedmiotów martwych. W dodatku nie okolicznościowa, jak to bywa na świecie (klucze się sehowa, rakiewiczki weisną pod cudzy kapelus, otówek stało się gdzieś zawieszony, szczególnie wnteznas gdy jest najwięcej potrzebny), tylko stała, złożyła i legalnie zorganizowana. Albo też przedmioty są oddany przyjacielem. Przedewszystkiem dobrym. Mającym serce dla więźnia. Ale rzadko się takie przedmioty spotyka. Do nich można zaliczyć kaloryfer (grzeje, suszy i można z niego kroszać iskry, gdy nie ma zapalek — naturalnie jedynie w tem miejscu, gdzie stracił lakier), następnie wszystkie wodociągi i rury. To szczególnie. Potem drut znalezione, kawalek szkła (bardzo ważne), kawalek cegły i takie tam nigdy nieprzewidziane drobniaczki. W tej celi było okno i krata.

Okno, bo — nie miało siatek, krata — bo dzieła muru na dwanaście równych kwadratów. Można sobie było wybrać jakiś kwadrat i patrzeć. Albo gdy przyszła ochota, na

Uderzenie pięścią w drzwi, i nagły błysk światła. Dyżurny zapalił lampę. Ściana ginie momentalnie, jakby ją ktoś kurtyną przysłonił. Błękitna. Bardzo szybko.

— Prigotawiajtes w ubornuju — bełkocze za drzwiami. — Siejczas pajditiue.

Wszystkie bez słowa powoli się podnoszą. Ciężko.

Tak dobrze było w tym przedwiecznym mroku.

Znikły makietki i chryzantemy, znikła lekka Manon i makartowska dama. Wszystko znikło, została potworna cęła i świadomość. Dobrze tylko, że ów dowódca francuski na koniu, rękę tak wysoko wznosi do góry, że pada na nią światło dnia, żywego jeszcze tam, ponad murami. W ręce trzyma szpadę i zęchę do obrony. Do wytrwania.

Dobrze.

Lubię tego dowódcę. Bardzo.

Wszystkie wnteznas jeszcze młodymi wieźniami i wogóle pojęcia nie miałymy, co to jest więzienie, a przedewszystkiem co to jest ciasnota. O tem dowiedzieliśmy się dopiero później. Na Zamartynowie w tłumie, w Charkowie i dalej. Ale narazie śniły nam się sny o przestrzeni większej, aniżeli trzy kroki w tył i w przód, nie wiedząc, że na takich trzech krokach trzy żywe kobiety można jeszcze posiadać, dodając im czwartą dla równowagi. Ot, byliśmy naiwno... Cęła była bardzo cionna, tak cionna, że światło się paliło dzień i noc. W noc obowiązkowo, a w dzień nie ze względu na nas (jeżeliby chodzilo o nas, napewno trzymano by nas w ciemnicy), ale dyżurny musi przecież wiedzieć co się wewnątrz celi dzieje. Wiece lampka elektryczna, słaba zresztą, świeciła się stale. Czasem — czasem, ale to rzadko kiedy bywało, może gdzieś w czerwcu dopiero, gdy i słońce w samo południe bardzo jasno świeciło i padało ukosem na mur naprzeciw okna, wnteznas refleks od tego muru — drugim, skośnym odbiciem — rozświecał naszą cęła na tyle, że dyżurny decydował się gasić światło. Później, gdy nabrali do nas na tyle zaufania, by wiedzieć, że ani nie wieszamy się na żadnym cudem zdobytym sznurze, ani też niewiadomym plinikiem nie przepilnowujemy kraty, gasił jeszcze na naszą prośbę zaraz popołudniu. Ale narazie...

Wnteznas mrok panował zupełnie, jednak gdy oczy się przyzwyczaiły, można było rozróżnić osoby. Oczy odpooczywały. Ale to rzadko bywało i jedynie wnteznas, gdy na ten mur słońce...

Ten mur...

Był wysoki, szary, mur więzienny, obłuczony, gładziejnie wyszarygany, i w wielu miejscach tynk oblaścił z niego. Całymi płatami, to znów drobnitkco.

Okno nasze było naturalnie zakratowane, kwadratowe, wysoko umieszczone, jak okno wieżniacza. Ale nie miało siatek, jak inne okna wychodzące na zewnątrz. Było dobrym oknem, przechylnem. Bo w wiezieniu nawet przedmioty źle się do życia unosunkowują. Na każdym kroku. To jest zupełnie jawna nauka przedmiotów martwych. W dodatku nie okolicznościowa, jak to bywa na świecie (klucze się sehowa, rakiewiczki weisną pod cudzy kapelus, otówek stało się gdzieś zawieszony, szczególnie wnteznas gdy jest najwięcej potrzebny), tylko stała, złożyła i legalnie zorganizowana. Albo też przedmioty są oddany przyjacielem. Przedewszystkiem dobrym. Mającym serce dla więźnia. Ale rzadko się takie przedmioty spotyka. Do nich można zaliczyć kaloryfer (grzeje, suszy i można z niego kroszać iskry, gdy nie ma zapalek — naturalnie jedynie w tem miejscu, gdzie stracił lakier), następnie wszystkie wodociągi i rury. To szczególnie. Potem drut znalezione, kawalek szkła (bardzo ważne), kawalek cegły i takie tam nigdy nieprzewidziane drobniaczki. W tej celi było okno i krata.

Okno, bo — nie miało siatek, krata — bo dzieła muru na dwanaście równych kwadratów. Można sobie było wybrać jakiś kwadrat i patrzeć. Albo gdy przyszła ochota, na

Uderzenie pięścią w drzwi, i nagły błysk światła. Dyżurny zapalił lampę. Ściana ginie momentalnie, jakby ją ktoś kurtyną przysłonił. Błękitna. Bardzo szybko.

— Prigotawiajtes w ubornuju — bełkocze za drzwiami. — Siejczas pajditiue.

Wszystkie bez słowa powoli się podnoszą. Ciężko.

Tak dobrze było w tym przedwiecznym mroku.

Znikły makietki i chryzantemy, znikła lekka Manon i makartowska dama. Wszystko znikło, została potworna cęła i świadomość. Dobrze tylko, że ów dowódca francuski na koniu, rękę tak wysoko wznosi do góry, że pada na nią światło dnia, żywego jeszcze tam, ponad murami. W ręce trzyma szpadę i zęchę do obrony. Do wytrwania.

Dobrze.

Lubię tego dowódcę. Bardzo.

Wszystkie wnteznas jeszcze młodymi wieźniami i wogóle pojęcia nie miałymy, co to jest więzienie, a przedewszystkiem co to jest ciasnota. O tem dowiedzieliśmy się dopiero później. Na Zamartynowie w tłumie, w Charkowie i dalej. Ale narazie śniły nam się sny o przestrzeni większej, aniżeli trzy kroki w tył i w przód, nie wiedząc, że na takich trzech krokach trzy żywe kobiety można jeszcze posiadać, dodając im czwartą dla równowagi. Ot, byliśmy naiwno... Cęła była bardzo cionna, tak cionna, że światło się paliło dzień i noc. W noc obowiązkowo, a w dzień nie ze względu na nas (jeżeliby chodzilo o nas, napewno trzymano by nas w ciemnicy), ale dyżurny musi przecież wiedzieć co się wewnątrz celi dzieje. Wiece lampka elektryczna, słaba zresztą, świeciła się stale. Czasem — czasem, ale to rzadko kiedy bywało, może gdzieś w czerwcu dopiero, gdy i słońce w samo południe bardzo jasno świeciło i padało ukosem na mur naprzeciw okna, wnteznas refleks od tego muru — drugim, skośnym odbiciem — rozświecał naszą cęła na tyle, że dyżurny decydował się gasić światło. Później, gdy nabrali do nas na tyle zaufania, by wiedzieć, że ani nie wieszamy się na żadnym cudem zdobytym sznurze, ani też niewiadomym plinikiem nie przepilnowujemy kraty, gasił jeszcze na naszą prośbę zaraz popołudniu. Ale narazie...

Wnteznas mrok panował zupełnie, jednak gdy oczy się przyzwyczaiły, można było rozróżnić osoby. Oczy odpooczywały. Ale to rzadko bywało i jedynie wnteznas, gdy na ten mur słońce...

Ten mur...

Był wysoki, szary, mur więzienny, obłuczony, gładziejnie wyszarygany, i w wielu miejscach tynk oblaścił z niego. Całymi płatami, to znów drobnitkco.

Okno nasze było naturalnie zakratowane, kwadratowe, wysoko umieszczone, jak okno wieżniacza. Ale nie miało siatek, jak inne okna wychodzące na zewnątrz. Było dobrym oknem, przechylnem. Bo w wiezieniu nawet przedmioty źle się do życia unosunkowują. Na każdym kroku. To jest zupełnie jawna nauka przedmiotów martwych. W dodatku nie okolicznościowa, jak to bywa na świecie (klucze się sehowa, rakiewiczki weisną pod cudzy kapelus, otówek stało się gdzieś zawieszony, szczególnie wnteznas gdy jest najwięcej potrzebny), tylko stała, złożyła i legalnie zorganizowana. Albo też przedmioty są oddany przyjacielem. Przedewszystkiem dobrym. Mającym serce dla więźnia. Ale rzadko się takie przedmioty spotyka. Do nich można zaliczyć kaloryfer (grzeje, suszy i można z niego kroszać iskry, gdy nie ma zapalek — naturalnie jedynie w tem miejscu, gdzie stracił lakier), następnie wszystkie wodociągi i rury. To szczególnie. Potem drut znalezione, kawalek szkła (bardzo ważne), kawalek cegły i takie tam nigdy nieprzewidziane drobniaczki. W tej celi było okno i krata.

Okno, bo — nie miało siatek, krata — bo dzieła muru na dwanaście równych kwadratów. Można sobie było wybrać jakiś kwadrat i patrzeć. Albo gdy przyszła ochota, na

Uderzenie pięścią w drzwi, i nagły błysk światła. Dyżurny zapalił lampę. Ściana ginie momentalnie, jakby ją ktoś kurtyną przysłonił. Błękitna. Bardzo szybko.

— Prigotawiajtes w ubornuju — bełkocze za drzwiami. — Siejczas pajditiue.

Wszystkie bez słowa powoli się podnoszą. Ciężko.

Tak dobrze było w tym przedwiecznym mroku.

Znikły makietki i chryzantemy, znikła lekka Manon i makartowska dama. Wszystko znikło, została potworna cęła i świadomość. Dobrze tylko, że ów dowódca francuski na koniu, rękę tak wysoko wznosi do góry, że pada na nią światło dnia, żywego jeszcze tam, ponad murami. W ręce trzyma szpadę i zęchę do obrony. Do wytrwania.

Dobrze.

Lubię tego dowódcę. Bardzo.

Wszystkie wnteznas jeszcze młodymi wieźniami i wogóle pojęcia nie miałymy, co to jest więzienie, a przedewszystkiem co to jest ciasnota. O tem dowiedzieliśmy się dopiero później. Na Zamartynowie w tłumie, w Charkowie i dalej. Ale nar

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglii aby zwracali się z zaufaniem osobście lub drogą pocztową z receptami i wszelkimi zapotrzebowaniami farmaceutycznymi lub medycznymi do składów aptecznych: John Bell & Croydin, 50/52, Wigmore Street, W.1 (służba dzienna i nocna) Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1 Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1

wszystkie pod ścisłą kontrolą SAVORY & MOORE LIMITED Aptekarzy Jęgo Królewskiej Mości 143, New Bond Street

LONDON W.1

TRAGEDJA WŁOCH

W „Nowym Świecie” z dn. 23 lipca ukazał się piękny artykuł Ignacego Matuszewskiego „Tragedja Włoch”, napisany jeszcze przed upadkiem Mussoliniego. Z artykułu tego, którego aktualności przysłała redakcja kapituła Włoch, dajemy ustęp poniższy:

Wierność kulturze narodowej obowiązuje w życiu międzynarodowym. Nieprawdą jest, że stosunki między narodami są tylko rachunkiem strat i zysków, matematycznym obliczeniem szans, grą na szachownicy. Treść życia narodowego, czyli hierarchia wartości duchowych — nie kończy się na granicach państw. Ta sama historia, która stwarzała narody — stwarzała między nimi pokrewieństwa. Nie pokrewieństwa rasowe — trudno o narody bardziej obce wzajem, jak Niemiec i Anglii, jak Polacy i Rosjanie. Lecz dzieje ludzkości wypracowały wspólnotę duchową, obejmującą więcej niż jeden naród. Wiele się mówi o tworzeniu ponadnarodowych związków — zapominając, że najistotniejsza ponadnarodowa wspólnota istnieje. Jest to wspólnota kultury. W ramach tej wspólnoty są różnice i spory. Muszą być — jak w każdej rodzinie. Jednak w okresie próby nie wolno zdradzać owej całości, gdyż zdradza się wówczas siebie. Tragedja Polski jest tragedją dochowania wierności swojej wspólnotce. Tragedja Włoch jest tragedją zdrady swojej kultury. Włoch był Polakiem.

Tak — wbrew ciałnym nacjonalistom — istnieją wartości ponadnarodowe, którym należy dochować wierności, jeśli nawet w zachowaniu dyktuje coś innego. Tak — wbrew zacietrzewionym partyjnikom — wartości te nie mają nic wspólnego z podziałem na partje, kierunki, skrzydła.

Włochy należą do wspólnoty zachodniej. Tak samo wtedy, kiedy rządzą nimi faszyści, jak kiedy rządzą nimi socjaliści. Włochy należą do kultury zachodniej od dwóch tysięcy lat. Tworzyły ją, i ona je tworzyła. Aby mogły zerwać z kulturą Zachodu — jak Niemcy — na to trzeba było — jak Niemcom — wieków, nie lat. Włochy należały do kulturalnej wspólnoty zachodniej i w średnich wiekach podzielone na szereg państw, i pod

jarzem obcym, i jako naród wolny. Włochy były członkiem wspólnoty zachodniej, gdy rządził nimi cesarz i papież, dozwolony i poddał, austrjacy gubernatorzy i francuscy generałowie, rewolucyjni trybuni i pionierycy dyplomacji, masoni i faszyści.

Ta jedna jest wojna religijna. To znaczy, że chodzi w niej o coś ważniejszego, niż interesy narodowe, ujmowane wąsko jako „sacro egoismo” (świąty egoizm). Właśnie dlatego nie wolno tej wojnie rozumieć w sposób jeszcze węższy, w sposób partyjny. Kultura ogarnia całość narodu, partja — część tylko. Kultura ogarnia może, ogarnia i łączy narody. Ideologia partyjna może wiązać części różnych narodów — nigdy ich całości. Dochować wierności kulturze nawet za cenę meczeństwa — to wnieść się razem z narodem. Jak Polska. Zmusić kraj, by układał stosunki międzynarodowe według doktryny partyjnej — to poniżyć naród do sekty. Tę zbrodnię właśnie popełnił Mussolini.

Jest wielu hałaśliwych popolitaków, usiłujących zakrzyczeć prawdziwy sens tej wojny. Mussolini był może wśród nich najniezdolniejszy. Mało kto mówił tak wiele i tak kłamliwie, że jest to wojna liberalizmu z hierarchją, totalizmem z demokracją, syndykalizmem z parlamentem. Mało kto powtarzał te fałszywe twierdzenia.

Gdyby naprawdę ta wojna była wojną liberalizmu z hierarchją, totalizmem z demokracją i t.d. i t.d. — Mussolini nie byłby zbrodniarzem. Jest zbrodniarzem, ponieważ jest to wojna nie o ustroje polityczne, lecz o coś od nich stotokrotnie starszego — o prawo, nie jest wojną o stosunki społeczne, lecz o coś od nich ważniejszego — o etykę, nie jest wojną o regulamin parlamentarny, lecz o coś tysiącokrotnie większego — o wolność sumienia.

Stosując miarę partyjną do interesów narodu Mussolini zdradził Włochy. Dlatego są one dzisiaj w sojuszu z wrogiem, walczą zaś przeciw przyjacielom. Dlatego przeżywa tragedję cierpienia bez sensu, zmagania bez sęca, porażkę bez winy i bezwładu, zrodzonego nie z braku odważności, lecz z braku wiary. Dlatego nie chcą walczyć.

MISCELLANEA

W „DUBLIN REVIEW” O ZAGADNIENIU „MAŁYCH NARODÓW”

W zeszycie za kwartał III „Dublin Review” pojawił się artykuł Władysława Kulskiego, chargé d'affaires ambasady polskiej w Londynie, p.t. „The Problem of Smaller Nations”. „Dublin Review” jest czołowym intelektualnym czasopiśmie katolickim, redagowanym przez znanego pisarza Sir Christophera Dawson; pismo, wbrew swojej nazwie, ukazuje się w Londynie.

Artykuł ministra Kulskiego jest zwięzłym przedstawieniem roli t.zw. mniejszych narodów w przeszłości, odpowiedzialności wielkich narodów za decyzje polityczne oraz znaczenia „małych narodów” dla tworzenia zrębów przyszłego ładu w Europie. Pan Kulski stwierdza, że wszelkie próby przejścia do porządku nad żywotnymi prawami „małych narodów” muszą doprowadzić do katastrofy; podkreśla on, że nacjonalizm nie jest bynajmniej siłą na wymarcie, ale że wskutek ucisku niemieckiego nateżenie uczuć narodowych w Europie raczej się wzmożło. Wyzyskanie tych uczuć i energii do obszerniejszego zadania będzie koniecznością doby powojennej. Federacje i bloki mniejszych państw stanowią najlepsze zabezpieczenie dla Europy, albowiem zapobiegają rozproszeniu sił.

O zagadnieniu „małych narodów” minister Kulski wygłosił szereg odczytów w różnych ośrodkach Anglii (m.in. w Oxfordzie).

HONOR ANGLJI I PRZYSZŁOŚĆ EUROPY

Pod powyższym tytułem „Weekly Review” z dn. 2 września zamieszcza artykuł w związku z wybuchem wojny. „Cztery lata temu — pisze tygodnik — przez kilka godzin na szalach walczyły się nie tylko losy naszego honoru narodowego, lecz i nasza opinja jako cywilizowanego mocearstwa europejskiego”.

„Polska — czytamy dalej — wciąż jeszcze przechodzi gehennę, która zaczęła się cztery lata temu... Jesteśmy zobowiązani do zapewnienia całości narodowej, który wycierpiał w tej katastrofie wojennej więcej niż jakikolwiek inny”.

Gdy wojna wybuchła, pisze „Weekly Review”, Wielkiej Brytanji przysłał jeden cel — zachowanie całości Polski i uwolnienie Europy od groźby napadu pruskiego. Dzisiaj uważa się że są to dwa odrębne cele, a przecież, tylko całość Polski zapewnić może skuteczne oswobowienie Europy”.

O stosunkach polsko-sowieckich tygodnik pisze: „Nowe położenie Sowietów, spowodowane najadem przez wojska ich sprzymierzeńca i piękna odwaga oraz wytrzymałość żołnierza rosyjskiego, przesłoniło lecz nie zatarło trwałej krzywdy wyrządzonej Polsce przez Sowietów. Zerwanie stosunków dyplomatycznych przez Moskwę podkreśliło jeszcze tę krzywdę, podobnie jak niechęć Sowietów do uznania przedwojennej

granicy Polski. Rząd polski zachowywał się z największą powściągliwością i poprawnością podczas tych zdumiewających zmian i w obliczu nieprzyjajnego nastawienia Rosji”. „Weekly Review” przypomina te fakty, by Wielka Brytanja „nie zapomiała teraz, w decydujących chwilach przed pokonaniem Prus, — jak nie zapomiała zresztą 3 września 1939 r., — czego wymagają zarówno jej własny honor jak i przyszłość Europy”.

DRUGI FRONT — 1940 i 1943

Pisząc o stosunkach brytyjsko-sowieckich, „Economist” z dn. 28 sierpnia podkreśla, że istotnie Rosjanom zdawać się może, iż sprzymierzeni rozmyślnie zlekceją z utworzeniem drugiego frontu, pragnąc osłabić Sowietów; wielu lewicowych pisarzy politycznych podziela te poglądy. Lato więc zrozumieć postawę Moskwy, ale — pisze tygodnik — „jest to bardzo niemądre stanowisko. Gdyby zniszczenie republiki chłopów i robotników zajmowało tak ważne miejsce wśród celów państw demokracji, Churchill przerwałby chyba blokadę w r. 1941 i oddałby lotnictwo brytyjskie do rozporządzenia Niemców. Jeśli istotnie chętno osłabić Rosję, nie byłoby konwojów do Murmańska, walki w Afryce ograniczononby do obrony, a bombardowanie przemysłu niemieckiego zmniejszono do minimum”.

Wobec powtarzanych do znużenia zarzutów, można również odpowiedzieć że „w r. 1940 Wielkiej Brytanji także potrzebny był drugi front, a nieefektywne rachuby Rosji i klasa francusko-brytyjska pozabawiły sprzymierzonych odszkodnie w Europie zachodniej”.

DWA DECYDUJĄCE TYGODNIE

Max Werner twierdzi w „Reynolds News” z dn. 5 września, że najbliższe dwa tygodnie wojny będą decydujące. Zdaniem tego pisarza wojskowego, który dotąd był dość trafnym prorokiem, armja czerwona nie tylko wygrwała bitwy ale jest w trakcie wygrwania wojny, jeszcze zaś przed końcem roku koalicja anglo-amerykańsko-rosyjska będzie mogła zadać Niemcom decydujący cios. Nigdy, dodaje Werner, armja niemiecka nie była w tak groźnym położeniu, a sprzymierzeni nie mieli tak wspaniałych możliwości ataku.

KONSEKWENTNY AMBASADOR

„Evening Standard” z dn. 28 sierpnia przypuszcza że przyjazd hr. Schulenburga do Stockholm jest zapowiedzią nowych intrzy niemieckich w Europie północnej. Dziennik twierdzi, że to Schulenburg, jako ambasador w Moskwie, skłonił Tuchaczewskiego i innych oficerów sowieckich do zdrady. On też prowadzi rokowania, które doprowadziły do pak-

tu niemiecko-sowieckiego z sierpnia 1939 r. oraz do rosyjsko-japońskiego paktu neutralności z wiosny 1941 r.

ECHA WRZEŚNIA

Londyńska „Zeitung”, która sprawom polskim udziela nieproporcjonalnie mało miejsca, wykrztusiła w numerze z dn. 3 września, z okazji rocznicy wybuchu wojny, kilka słów uznania dla „bohaterstwa, z jakim chłopcy polscy podjęli walkę”. Zaraz potem dodaje „Zeitung”, że Polacy „musieli zapłacić za grzechy nieodpowiedzialnego rządu”. Podobnie brzmi wyrok „Tribune” z dn. 3 września: Polakom nie udało się kampanja wrześniowa, ponieważ „ludzie, którzy nimi rządzą, nie dostarczali im ani wojskowych ani politycznych środków oporu”.

Można i należy krytykować wady, błędy i grzechy regimne polskiego, nie odmawiając prawa do tego także i cudzoziemcom, czas jednak na progę piątego roku zmagają się niemal całego świata z potworem niemieckim, przestać wypisywać bzdury o możliwości innego rozstrzygnięcia wojny z Niemcami, nawet gdyby Polska znajdowała się pod rządami, odpowiadającymi najdalej idącym postulatom demokratycznym.

Na początku wojny król Borys miał się wyrazić, że naród bułgarski jest prorosyjski, sztab proniemiecki, królowa prowloska a jedynie on sam jest probułgarski.

Na konferencji prasowej w Nowym Jorku brytyjski minister informacji nazwał Hessa „wyrostkiem harcerskim”. Organizacja harcerzy natychmiast zaprotestowała przeciw temu określeniu, i minister przeprosił harcerzy publicznie.

W czasie ostatniego nalotu na Medjolan uległ całkowitemu zniszczeniu dom słynnej muzycznej firmy wydawniczej Ricordi; 300 000 kompletów kamieni litograficznych i klisz, owoc 135-letniej pracy rytmografów, padło ofiarą bomb.

Stalin został nowym rekordzistą rynku wydawniczego: trzecie wydanie jego przemówień wojennych wydrukowano w Moskwie w nakładzie pięciu milionów egzemplarzy.

Czasopismo madyryckie „Arte y Letras” zamieściło obszerny szkic Józefa Lobodowskiego „Ortega Gasset i Carlos Zoradziński ante Ana de Noailles y Maria K. Pawlikowska”.

Brytyjski artysta filmowy i teatralny, Esmond Knight, który oślepił podczas bitwy morskiej przy zatopieniu „Bismarcka”, odzyskał powoli wzrok i ma nadzieję, że szybko wróci na scenę.

„PIERWSZY POCIĄG DO PRAGI”



Pod tytułem „Pierwszy pociąg do Pragi” ukazała się niezmiernie interesująca ksiązka wbitnego dziennikarza czeskiego, p. Emila Synka, który w sposób oryginalny oświetla zagadnienie czechosłowackie zarówno na tle historycznym jak i od strony soślis wewnetrznej, poświęcając szczególną uwagę postaci Benesa. W konkluzji tej sensacyjnej ksiązki znajdują się słowa: „Stoimy pośrodku między dwoma biegunami, przyciągającymi myśli wszystkich włochów, przez Hitlera nie zagarniętych ludów. Przy jednym biegunie są ci, którzy projektują i wróżą wspaniałe zmiany i rozwój; przy drugim wyrachowani egoiści, kombinujący jakby najlepiej mogli się im udać wejść na ich dawną drogę łatwego życia... Naszą pomocą i wskazówką może być tylko prawda, przyjemna czy nieprzyjemna, ale zawsze prawda”.

O POLAKÓW W ROSJI

Komitet Narodowy Polaków amerykańskich uchwałił co następuje:

Zważywszy że odpowiedzialność za życie i śmierć zesłańców polskich w Rosji sowieckiej obciąża wszystkie sprzymierzone narody, razem z Polską walczące przeciw Niemcom; że odpowiedzialność za szeregówym ciężarem pada na barki nasze, obywateli amerykańskich, w których żyłach płynie krew polska; że z meczeństwa losem zakładników polskich w Rosji sowieckiej — ujarzmione, ale walczące o wolność ludy Europy wiążą samą możliwość wiary w prawdę kraty atlantyckiej;

że uwolnienie okrutnie pozbawionych wolności, ojczyzny, opieki i obywatelstwa zesłańców polskich w Rosji sowieckiej wzmoże siły duchowe i materialne narodów walczących z Niemcami, Włochami i Japonją; że dalsze trwanie tego meczeństwa, jakie jest udziałem miliona polskich zakładników w Rosji sowieckiej, musi osłabić i osłabia duchowo i moralnie narody zjednoczone; że zbrodnia ta jest sprzeczna z prawem boskiem;

że Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, udzielając bezinteresownie a hojnie pomocy Sowietom jako sprzymierzeńców swemu w walce z Niemcami, mają prawo i możność żądać od Rosji uwolnienia obywateli Polski, którego sprzymierzeńca w walce z Niemcami i Japonją. Komitet postanawia: zwrócić się z petycją o uwolnienie miliona zakładników polskich w Rosji sowieckiej do Prezydenta i Kongresu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej; wezwać wychodźtwa polskie do masowego podpisywania tej petycji.

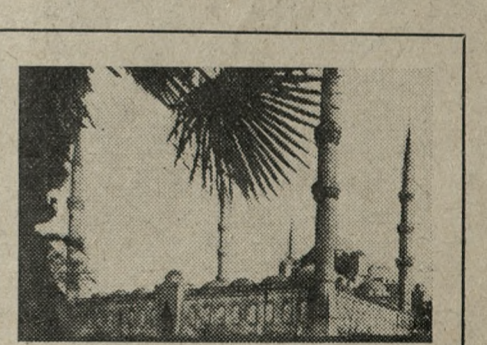
ODCYZ PROFESORA SUKIENNICZEGO

Dn. 31 sierpnia koło Londyńskiego Związku Ziemi Północno-Wschodnich odbyło pierwsze swoje zebranie. Prof. Wiktor Sukienicki z Wilna wygłosił gruntownie udokumentowany wykład o okupacji sowieckiej województw wschodnich w świetle prawa międzynarodowego. Następnym wykładem Prof. Sukienickiego będzie poświęcony zagadnieniu t.zw. plebiscytów, dokonanych na ziemiach polskich.

Y.M.C.A.

Dyrekcja polskiej Y.M.C.A. w Wielkiej Brytanji prosi wszystkich byłych członków Y.M.C.A. w Polsce o podanie swych obecnych adresów — z zaznaczeniem ogniska macierzyńskiego w Polsce — do biura Y.M.C.A.: Nash House, 39a, Maddox St., London, W.1, tel. MAYfair 7540.

O podanie adresów proszone są również wszystkie osoby, które współpracowały z polską Y.M.C.A. na terenie Węgier, Rumunii, Francji, Szwajcjarji i na Wschodzie.



ISTANBUL RESTAURANT 12, FRITH STREET, SOHO, W.1 TELEPHONE GERRARD 6115

THE „COUNTRY FAIR” KAWIARNIA I RESTAURACJA 15-17, Baker Street, Węlfice od strony George Street, pod napisem „LUCIAN”, LONDON W.1; tel: WEIbeck 9326

Redaktor: ZYGMUNT NOWAKOWSKI Printed in Great Britain for M. I. Kolin (Publishers), Ltd., by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Workshop Street, E.C. 2; Published every Tuesday at 229/231, High Holborn, London, W.C. 1.

MINISTERSTWO WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO Buckingham Palace Mansions, Buckingham Palace Road, London, S.W.1. zawiadania o wydaniu książki: MARIAN AUERBACH i KAROL DABROWSKI DUSZ LATINE str. 95 Podręcznik do nauki łaciny dla I klasy gimnazjalnej cena 3/6 Do nabycia w polskich księgarniach i księgach Skład główny: Polish Books Depot, 1, Atholl Place, Edinburgh

Kupujemy Sprzedajemy ZNACZKI POCZTOWE Bogaty i wzbogacający wybór znaczków pocztowych wszystkich państw europejskich i kolonii brytyjskich Najwyższa jakość po cenach przystępnych Usługa polska GARRICK STAMPS, 16 Charing Cross Road, London, W.C.2 Tel.: TEMple Bar 5710

KORESPONDENCJA

PRAWDA O MIRANDZIE

Do redaktora „Wiadomości Polskich” Dosyć dużo napisano już o Mirandzie. Ustalono podobno odznakę pamiątkową Mirandy. Obecnie zaś krąży plotka o zamierzonym zjeździe mirandczyków.

Ta plotka — dobrze, gdyby była pozbawiona podstaw — każe mi chwycić za pióro i prosić Pana Redaktora o zamieszczenie w „Wiadomościach Polskich” kilku uwag poniższych.

Jestem jednym z tych, co przesiedzieli w Mirandzie dość długo, bo 23 miesiące. Wydaje mi się więc, że mam pełne prawo do zabrania głosu w tej sprawie.

Byłiśmy Panu Redaktorowi wdzięczni za poruszenie w Jego piśmie sprawy mirandzkiej. Czas już jednak wielki powiedzieć, że w chwili, gdy do Londynu dotarły alarmujące wieści, stosunki w obozie zaczęły ulegać poprawie. Gdy zaś wydrukowane w pismach polskich artykuły przysły do nas — stosunki były już tak dalece różne, że zrobiło się nam wstyd.

Było nam wstyd, bo wszyscy prawie zdawali sobie sprawę, że w porównaniu z tem co dzieje się gdzie indziej — jest nam za dobrze. Już latem 1941 r.

Wielu z nas chciało postować nieprawdziwie wiadomości. Nie zrobiliśmy tego tylko ze względów „dyplomatycznych”, w obawie nie o powiedziano: „Jeżeli im tam dobrze — niech spokojnie czekają końca wojny”.

W ten sposób zaczęło się utwierdzać fałszywe, bo ogromnie przesadzone, pojęcie o stosunkach w Mirandzie. Ma się wrażenie, iż i dzisiaj ktoś rozmyślnie pragnie podwyższyć Mirandę do znaczenia symbolu jakichś niezmiernie wielkich przeżyć.

I dlatego w imieniu własnym i wielu bardzo mirandczyków, apeluję do zbjoktowania odznaki Mirandy i do przeciwstawienia się, przynajmniej przed końcem wojny, pomysłowi stowarzyszenia lub zjazdu mirandczyków.

Trudno jest to gorliwie wyolbrzymianie przeżyć mirandzkich wytłumaczyć inaczej, niż mniej lub więcej świadomym dążeniem do tego, by pobyt w Mirandzie mógł stać się tytułem do chwały, zasługą, uprawniającą może do przepięcia sobie jeszcze jednej wstążeczki.

A to podkreślanie zasług kryje w sobie bardziej jeszcze niebezpieczny zarodek: zawiązek przeświadczenia o prawie do ich dyskutowania. Były w Mirandzie jednostki, które takiemu rozumowaniu nie były obecne. Stosunki przed wojną w Polsce dają pod tym względem niegorszy precedens.

Tym, którzy świadomie chcą stworzyć legendę Mirandy lub tym którzy przez niezrozumienie wrażenia takiego dążenia wytworzą, przeciwstawiam inne „wyznanie wiary”: twierdząc, że gdyby nie to, iż do Mirandy dostaliśmy się przychwycony w drodze do szusznego celu i gdyby nie to, iż uciec z Mirandy naprawdę nie było łatwo — pobyt w Mirandzie pożytywałymy sobie za wstyd. Tylko podane okoliczności chronią mnie od tego. Ale nie nie pozwala uważać pobytu w Mirandzie za zasługę.

Zdarzył się taki, autentyczny, wypadek. Pewien podporucznik marynarki, uczestnik obrony Westerplatte, zbliżył się do niewoli, dostał się do Anglii. Przy badaniach każdego nowoprzybywającego — jak jest tu w zwyczaju — obecny był kapitan wojsk polskich. Słyszac o „pochozeniu” podporucznika, wita go jak na to zasłużył (rozmowa nie dosłowna):

— Panie poruczniku! Taki gość! Oto mamy wśród nas bohatera!

— Bohater zaś na to, basem podobno: — Lipa, panie kapitanie!

Opowiadając sobie, że owego podporucznika zaczęto podejrzewać o rozmyślnie pomniejszanie znaczenia chwalebnych czynów oręża polskiego. Ale to już pewnie złośliwość.

Obrony Westerplatte nie trzeba powiększać, i nie grozi jej umniejszenie. Znamy jej przebieg z opisów najbardziej miarodajnych, bo niemieckich. Możemy być z niej dumni.

Ale mimo to możemy i powinniśmy być dumni z tego podporucznika. Z jego słów: „Lipa, panie kapitanie”.

Niech się nad tem zastanowią ci, co usilnie Mirandę chcą przekazać historii jako pasmo udręki i kaźni.

To lipa!

Miranda była „rajem”, do którego wzdychał każdy czekający na nią w więzieniu hiszpańskim. A byli tacy, którzy w tych więzieniach, naprawdę przykrych, siedzieli dłużej, niż niejednen mirandczyk w Mirandzie. A od więźniów hiszpańskich były gorsze więzienia francuskie i „camp d’Argelès” we Francji. Porównajmy zaś skości więzienia francuskie z rosyjskimi i niemieckimi.

Miranda pozostanie jednym z licznych fragmentów naszych dzieł na emigracji. Dużo ciekawych rzeczy można o niej napisać. Dużo przedewszystkiem wydobycy humoru. Niejednen szczegół dodatnio świadczący o Polakach. Wiele szczegółów wystawiających też świadectwo Hiszpanom. „Rewolucja lipowa” warta jest dokładnego psychologicznego, a może i socjologicznego studjum. Ale w prawdziwym, rzetelnym opisie prawie tryletnich dzieł Mirandy nikt nie dojrzy kaźni.

W zeszycie „Nowej Polski” za marzec b.r., w opisie rozmowy z wysłannikiem z Polski, jest taki, arcyważny, ustęp (str. 170): „Na zakończenie gość przytoczył jeszcze jeden dezzyderat od „tak zwanego” Kraju. „Tak zwany” Kraj nie żyzył sobie, więc propaganda nazywała go cierpiącym. Żądał, aby go nazywano walczącym”.

Aż dziwne, że są Polacy, którzy sami tego nie rozumieją. Nie wiem, jaki to kompleks psychiczny, ta pozostałość po czasach niewoli, ta martyrologomanja. Są jednak i między nami tacy — szkoda tylko, że jest ich za mało, jak widać w „propagandzie”, skoro aż z Kraju należało ją polcać, — którzy myślą tak samo jak i w Polsce. Pamiętajm obrzenie wielu młodych oficerów, gdy w Juvaucourt, w Lotaryngji, oficer oświatowy pułku „przyozdobili” świetlicę bohaterem, przedstawiającym oryginalną postać Polski... ukrzyżowaną!

Cóż za wysokie pojęcie honoru! Co za psychologia cierpiętnictwa u ludzi, którzy nie cierpieli!

„męczennika” Mirandy, ze śladami bicia na plecach. „Któż to mógł być?” — pytają się nawzajem między sobą mirandczycy. A jeżeli nawet mogło się to zdarzyć (dalióg — nie pamiętam), rzecz nadaje się do opisu z humorem, a nie na ponuro. Czytelnicy: jeżeli ktoś z mirandczyków zechce was bujać, zapytajcie go, czy ofiary „krakowskiego wesela” w Mirandzie mają mieć też zapewniony pomnik w Polsce?

W imieniu nie tylko swoim, w imieniu tych mirandczyków, którym zdążyłem ten mój list pokazać, w imieniu — jestem przekonany — dużej większości mirandczyków, zwracam się do całej prasy polskiej na emigracji, do wszystkich osób odpowiedzialnych za propagandowe i niepropagandowe wydawnictwa — o staranniejszy dobór autorów piszących o Mirandzie i o bardziej krytyczne podejście do nadsyłanych na ten temat prac.

ZYGMUNT KIERSNOWSKI.

TANGO MILONGA

Do redaktora „Wiadomości Polskich” Pan Ksawery Pruszyński nie zawiódł. Na mój artykuł „Zdrada klerka” (w nr. 182 „Wiadomości Polskich”) zareagował, jak autorem, jak kuka-silomierz, w którą się wali w „Lunaparku”. Trzask, brzęk, strzałka leci w górę i pokazuje, pokąd kudek zabolalo. Nie chciałem p. Pruszyńskiego demaskować, choć wiedziałem, że to on był anonimem z „Dziennika Polskiego”, trochę było mi go żal, personalne złośliwości nie były mi potrzebne, sprawę uważałem za zasadniczą.

Pan Pruszyński nie wytrzymał nerwowo; nie moge powiedzieć, że „zdjął przyłbice”, bo na p. Pruszyńskim niema nie ryerskiego — poprostu z furją wyskoczył za krzak, odpowiedział w „Dzienniku”, nie napisał ani słowa, ani zdania prawdziwe: wszystko przekreślił, zamacił, zmyslił — jedno co napisał w swojej obronie jest prawda: że ja kabareciarz.

Wyrosłem na kabareciarz, kabaret nauczył mnie wiele, jestem starym kabareciarzem. Szkole starego kabaretu zawdzięczam to, że godząc w anonim, mogłem p. Pruszyńskiego osobście traktować z kurtuazją, że nie zachwycając się charakterkiem, mogłem chwałę autora dobrej ksiązki i interesujących feljetonów i opowiadań. My, starzy kabareciarze, mamy, widać, lepsze manieri, niż kabareciarze-demokraci z nowej „Bandy”, z innego „Qui pro Quo”, spod innego „Czarnego Kota”.

MARJAN HEMAR.

W poprzednim 6-stronicowym numerze (183) „Wiadomości Polskich” (9 ilustracji):

Marja Danilewiczowa: Krzemieniec. Kilka wspomnień. — Stanisław Stronksi: Polska i Rosja: 1941-1943. — Zygmunt Nowakowski: „The Polanders”. — Antoni Boguslawski: Sześciziesięcioletnie Julija Benesica. — Zbigniew Grabowski: Zaczął się piąty rok. — Aleksander Boray: Bomby i fronty. — Helena Heinsdorf: Himmler. — W rozmowie. — Dawid z R. — Zuch Stronksi. — Miscellanea. Korespondencja. — Apel do papieża. — Niedopuszczalne metody. — The Polish News. Articles. Extracts. Letters. Adam Prager: Poland and Russia. Two Polish Submarines „Orzel” and „Wilk”. — Huge Debt to Poland? Poland's Part as Seen in English Books.

Stanisław Baliński TAMTEN BRZEĞ NOCY cena 4s. 6d. do nabycia w księgarniach M. I. KOLIN (Publishers) LTD. 9, New Oxford Street, London, W.C.1 31a, Castle Street, Edinburgh

SPROSTOWANIE

„Dziennik Polski” z dn. 4 września przyniósł wiersz p.t. „Propaganda szepczana”. Jest to ponury przykład niedowcipnej, „urzędowej satyry” na brzydki opozycje. „Satyra” denuncjuje jakas nieodgadniętą postać, „co na ważnym zasiada urzędzie, własny resort oczernia, plotki znosi wszędzie”, rozczuła się nad zgodą „pana Stanisława z Janem” (miewiadomo, czy Kota ze Stankiewiczem, czy Mikolajczyka z Kwapińskim, czy nakrzyż) — jednym temem szkaluje Bogu ducha winnego, usunietego ze Strattono urzednika, w piątym roku wojny bez podania powodów, bez cienia konkretnych zarzutów wyrzuczonego na bruk.

Mniejsza o to wszystko — to rzecz dobrego smaku i talentu autora. Ale wiersz podpisano literami H.M., najwidoczniej w tym celu, aby wywołać zamieszanie wśród czytelników, aby uwierzyli niektożry, że zolobitny, rozplaszczony wiersz jest pióra Marjana Hemara. Uczyniono to w chwili, kiedy było publiczną tajemnicą, że Hemar jest „na wylocie” z ministerstwa informacji, wskutek swego artykułu „Zdrada klerka” („Wiadomości Polskie”, nr. 182).

Hemar odpowiedział w „Dzienniku Polskim” z dn. 6 t.m. ironicznym wierszem p.t. „Sprostowanie”, który niżej przytaczamy:

Rzecz przykra: gratulują mi uszy z uporem Właśnie wiersza, którego nie jestem autorem. Chwałę mnie, że wiersz cudny. A mnie ustyd ogromny — Wiersz nie mój. Mówią na to: „Nie bądź pan za skromny”.

Wiersz celny, jakby serje wystrzelił ckm. Lecz nie mój. Na to mówią: „Przećż podpis „HM” ??” Wiersz poezją zapachniał, jak swojska czeremcha.

Lecz nie mój, ja nie HM. Ja odwrotnie — MH.

Mile mi gratulacje, lecz spieszę do biurka I prostuję, by w cudze nie stróić się pórka.

A żal mi, bo w wierszyku dowcipu bezliku, Szczególnie w jednej zwrotce, o tym urzedniku: „Urzednik niesumienny, dostal umówienie, Zaraz ruch kolo niego, zaraz poszedł w cenie” — (Toby mnie nie raziło, mnie razi, odwrotnie, Kiedy wokół wylanych robi się samotnie, Kiedy w cenie spadają; wczorajszy kolega Gdy naraz, wylanego, ni jak nie dostreza)... Lecz „urzednik wylany należał do kłiki” — „I wysiadał innego” przez mienie praktyki. Więc chociaż serce pęka, trzeba go, ze łzami, Wylać i wylanego jeszcze poszczuć psami, Krzyknąć: „Burek! Azorek! Ha e m e k ! A luzia!

A pif! A paf! A ziajbń takiego łobuzia!” Włóć Burek, czy Haemek, klapnął, warknął, I dobił. A mnie chwala, że m wiersz taki machnął.

Mnie zaszcisć, że m nie Burek — wyznam, jak Gestapu. Ja zły pies. Kasam rękę, co mi daje papu. Ja jestem pies bez manier, wiem o swojej wadzcie. Wzręca na urzedników — póki na posadzcie. Kiedy z posad wylani — to już nieboraczki. Zły to strzelec, co strzela do siedzących kaczki.

Więc gdy za wiersz mnie chwala — sumienie mnie szturka. Nie mój wiersz. — Ja się nie chcę stroić w pórka Burka.

Upzejmie przypominam, innej rady niema — By wstyd za mnie nie spadał na p. Haema, I abym sam z zaz